

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**MIECZYŚLAW SMOLARSKI**

# **BIAŁE MOCE**

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA KORSARZY POLSKICH XVI WIEKU.

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I.

W pogodny, wrześnieowy dzień dwa statki kaprów czyli korsarzy królewskich, Imci Panów Wąsowicza i Sierpinka stanęły w porcie gdańskim.

Było to w epoce prób stworzenia polskiej floty na Bałtyku przez ostatniego z Jagiellonów.

Rozpaliła się w owych czasach wojna pomiędzy, Fryderykiem II, królem duńskim, a Erykiem XIV, królem szwedzkim, i Rzeczpospolita wzięła w niej udział po stronie Danji. Wtedy Zygmunt August powziął plan poparcia dalekiego swego sprzymierzeńca – na morzu. Gdy chciwe bogactw, a lękające się o swe wolności miasto Gdańsk wymówiło się od dostarczania pomocy, zgłosiło się dwóch zuchwalców, którzy, posiadając własne statki, uzyskali od króla pozwolenie na prowadzenie wojny korsarskiej.

Zygmunt August nie tylko przeznaczył im na własność cały przyszły łup zdobyty, ale nadto poddał ich pod opiekę własną, uwolnił od grodzkich sądów gdańskich i swoim kosztem zwerbował im marynarzy. Poczem puścił ich na łaskę szczęścia i dzielności na niespokojne losy i wody.

Panowie Sierpinek i Wąsowicz mieli zadanie niełatwe. Obowiązkiem ich było przeszukiwać okręty handlowe z Anglii i Niderlandów, zabierać kontrabandę i bronić wybrzeży. Musieli natomiast uchodzić przed dobrze uzbrojoną flotą szwedzką, która gotowa była ścigać ich do samego Gdańska, oraz strzec się współzawodniczych korsarzy cudzoziemskich. Mieli nadto, jako cel dalszy, przeszkadzanie żegludze narewskiej, gdyż w owym to czasie, od 1550 roku potęga moskiewska zdobywała Narwę i spojrzała ku Bałtykowi.

Zdobyczą ich natomiast bez żadnej wątpliwości stawał się każdy handlowy okręt szwedzki lub moskiewski. Między obu kaprami wybuchły jednak wkrótce spory.

Spowodowała je różnica temperamentów. Wąsowicz, bardziej śmiały, zapalał się do niebezpieczeństwa, zdawał się zazdrościć sławy flibustjerom francuskim, prowadził też wojnę często na własną rękę i tak, jak mu kazała fantazja. Na statku jego po dniach wyteżonego pościgu panowały dnie słodkiego lenistwa, kapela grała, a okręt płynął sobie jak chciał po niebiesko-siwych falach Bałtyku.

Ale w towarzystwie swoim miał młodego przyjaciela, niejakiego Piotra Hellburga, z rodziny szlachty pomorskiej, od lutyckich książąt się wywodzącej, który namawiał go do wypraw coraz śmielszych. Porzucając wybrzeże polskie i inflanckie, pociągnęli pod Rewal w Estonji i tam kolejno, zanim się wieść rozniosła, jak ryby w sieć łowili statki handlowe moskiewskie. Zamknęli tak dostęp do portu i byliby może nawet wykonali napad na to miasto, po to tylko, by dać dowód, że nie lękają się żadnych niebezpieczeństw, gdyby nie to, że drogę powrotną zastąpił im okręt korsarski moskiewski. Rzucili się na przeciwnika, zmusili go do ucieczki z niemałym obustronnej krwi przelewem, ale, że nabrali już rozpędu, więc skierowali się z powrotem wzdłuż wybrzeży pruskich, ku Gdańskowi.

Pan Sierpinek, kupiec z pochodzenia, rozumując więcej po kupiecku, ruszał na przedsięwzięcia jedynie pewne. Z tego jednak właśnie powodu uchylała mu się wszelka większa zdobycz. Natomiast odznaczał się większym okrucieństwem i łatwo nieprzyjaciółmi zdobył maszty, gdy na okręcie broniącym się znalazł kontrabandę. Nie było w tem nic w owej epoce dziwnego, gdyż korsarze wiedzieli, że w razie ujęcia czeka ich samych, jak zwykłych zbójców, ścięcie na placu publicznym. Ale co gorsza, oskarżono go, że rzucał się nawet na handlowe statki duńskie, wywołując słuszne skargi zaprzyjaźnionego z Rzeczypospolitą króla Fryderyka. Niebardzo więc trzymał się tamtych dwóch wojowników kompanji. Teraz jednak, widząc, że wracają w sławie, a z łupem o wiele od niego bogatszym, dołączył się do nich i razem stanęli u ujścia Wisły, w pobliżu Gdańska, przy latarni.

Do samych bulwarków dojechać nie mogli, gdyż płytki port nie dawał dostępu nawet sporszym okrętom kupieckim.

Stały dwie wielkie nawy na tle potężnego morza, uspokoiły się na kotwicy, chłopcy strażujący zeszli z najwyższego masztu, żagle na sznurach odpadły, wiatr wydymał tylko zostawione dla odznaki polskie bandery.

Już załoga gotowała się do wylądowania, gdy przysłany pacholek miejski zwiastował przybycie rychłe burmistrza Klefelda.

Klefeld był równocześnie przełożonym kaprów w myśl polityki królewskiej, który obdarzając go tą godnością, spodziewał się pozyskać dla swych planów miasto. Można strażnica Wisły jednak spoglądała na korsarzy niechętnie. Przeszkadzali jej, krępowali swobodę prowadzenia handlu z kim zechciała, napełniali ją lękiem, by potęga królewska nad nią nie wyrosła. Dlatego też ku okrętom nie ruszył nikt z miejskich patrycjuszy, a sam burmistrz wyszedł naprzeciw nie uroczyście, ale w szatach codziennych, spełniając obowiązek, by przyjąć sprawozdanie z wyprawy i upomnieć się o dziesięcinę, która według zwyczajów owych czasów przynależną była władcy kraju.

Natomiast załogi stojących w porcie żaglowców duńskich, hanowerskich, angielskich, holenderskich nawet hiszpańskich ruszyły ciekawe, by zobaczyć choć zdaleka nowych morskich przeciwników. Za nimi ścignęli i flisy polscy, którzy z galarami pełnymi zboża stali o tej porze licznie u ujścia rzeki.

Burmistrz nadszedł. Zaproszono go najpierw na okręt pana Wąsowicza, który przyjął go w pancerzu cyzelowanym, berecie włoskim z piórem, z czekanem za pasem, a wschodnią szablą przy boku, gościnny i zadowolony z siebie, że może zdobycz swoją pokazać. Za nim stanęła załoga cała, wilki morskie i włóczęgi, zbieranina ze wszystkich krajów, ale przecież z Kaszubów rodzimych przewagą. Stanęli, jeżąc się groźnie berdyszami, toporami i hakami do przeciągania obcych okrętów, trzymając w ręce muszkiety, uzbrojeni nieregularnie, ale starając się zachować paradę wojskową.

Zaproszono także i pana Sierpinka. Spojrzał burmistrz z zazdrością na bogate łupy, które częściowo rozłożono na pokładzie wśród dział. Z kupiecką ciekawością brał do ręki rzadkie futra, kołpaki, wschodnie materje, atłasy, srebrem tkane chresty i suknie jedwabne, a prócz tego leżącą pokotem broń, muszkiety, samopały dońskie i pistolety, a nadto klejnot prawdziwy, złocistą moskiewską chorągiew z Bohorodycą.

– Nie mogę się żalić – cheplił się pan Wąsowicz – na brak łupu. Zanim się o nas wieść rozeszła brać ich można było łatwo. Nie zapomniałem też o swoim domu. Po drodze spotkałem okręt, który wiozł pełno kafelek z Delft. Wyłożę tam sobie niemi ściany, jako teraz jest moda zagranicą. Będę patrzeć na wymalowanych na nich ludzi morskich i budynki, i w starości jeszcze przypominać sobie będą dzieje tej podróży...

Jakoż kafelki te zajęły burmistrza, który znał się na sztuce. Wszakże do tego Gdańska, w którym się wychował, zwozili bogaci patrycjusze na budowę domów rzeźbą kryty marmur z Florencji. Dlatego też uważnie przyjrzał się tym wyrobom i podziwiając je, dodał jednak z odcieniem własnej pychy:

– Piękne to, nie piękniejsze jednak od kominka, który mamy, wyrobiony na miejscu, w Dworzyszczu Artusowym.

– Mało bo też wyrobów na świecie gdańskim równe... – odparł grzecznie pan Wąsowicz. – Mam tu jednak coś także dla Waszej Miłości...–i prowadząc go do jednej ze skrzyń wydobył niepospolitej wagi łańcuch złoty. – A tu – dla króla Jegomości...

Był to kielich na wino półgarncowej objętości. Czarę wyżłobioną z kryształu górnego podtrzymywała rzeźbiona złota podstawa. Przedstawiała ona okręt złoty ze srebrnymi żaglami, bijący się z falami morza. Z morza tego wychylały się śpiewające Syreny i Tryton, który w ustach wydętych róg trzymał. Kielich ten, ozdobiony drogiemi kamieniami, posiadał dla złotnika wielką cenę, ale większą jeszcze jako dzieło sztuki. Co ważniejsze, na czarze były wyrżnięte herby Szwecji.

– Jest to – ciągnął pan Wąsowicz – dar króla Fryderyka dla cara Iwana za wystawienie pierwszych statków korsarskich. Słuszniej jest zatem, aby dar od nieprzyjaciela dla nieprzyjaciela spoczął w skarbcu naszego łaskawego króla Jegomości.

Datki te, po za dziesięciną zdawały się rozpogadzać Klefelda. Równocześnie gospodarz dał znak, zagrzmiała muzyka i poczęto prosić go do stołu:

– Zanim będziemy pana naszego część odbierać, na co i jutro czas będzie, prosimy Waszą Miłość na węgrzyna. Puchary nasze nie będą równie piękne, ze szkła prostego, ale za to, jak nasze serce – obszerne.

Burmistrz jednak, chmurny znowu, wymówił się, bo kazał już dla nich nagotować wieczerzę w domu. Wypiwszy więc w ręce gospodarza kielich podanego sobie wina, udał się na pokład drugiego statku. Nie znalazł tutaj równie cennych rzeczy, leżących, jak prawdziwa zdobycz, w obfitości i bezładzie, ale pan Sierpinek miał za to pełne skrzynie talarów, przeważnie ze sprzedaży łupu, który się do długiego trzymania nie nadawał. Poczem z obu statków wzięli pacholkiwie skrzynki z podarunkami dla pani burmistrzowej, i tak udali się razem obaj korsarze z burmistrzem, poprzedzani dla przepychu strażą żołnierzy okrętowych, do miasta.

Zapał już zmierzch, więc na statkach zapalono latarnie. Równocześnie morze rozpoczęło się silniej kołysać, więc Klefeld mruknął tonem znawcy, bo wszakże te wody przyniosły jego bogactwo i znał je od dziecka:

– Oho! idzie fala jesienna!

Szła fala jesienna, piana, rzucająca bursztynem na brzegi i niosła, gdzie wzrokiem objąć, szum potężny. Uderzała o wybrzeża skaliste, sosnami kryte i zalewała długie piasków płaszczyny, obijała się o porty i strzelisto zbudowane miasta, poruszała okręty wszech ziem i wszech narodów, tutaj jednak, poniżej ujścia rzeki zaledwo kołysała stojące statki. W zmierzchu wydawały się kontury wielkiego grodu bardziej jeszcze chmurne i fantastyczne. Wtem z wieży ratuszowej uderzył zegar godzinę siódmą. I oto naraz odezwała się melodia dzwonek, melodia czarodziejska, dźwięcząca pieśnią i unosząca w zaświaty fantazji harmonijnym brzękiem mijającej chwili.

Nie prowadził burmistrz jednak korsarzy do ratusza, ani do Dworca Artusowego, ale podjął ich prywatnie w domu swoim przy Długiej ulicy. Wokół na renesansowych gankach schodzących na ulicę pełno było rodzin kupieckich, które, korzystając z ciepłego dnia, poily się świeżem powietrzem i ciszą wieczoru. Gdzieniegdzie słyhać było lekkie pobrzękiwanie muzyki. Burmistrza witano poufale, ale wszędzie głosy milkły, gdy dowiedziano się jakich wie-dzie gości. Było to milczenie bardzo chmurne i niechętne.

Klefeld wprowadził towarzyszków swoich na pierwsze piętro. Była tam komnata jasno oświetlona, wygodna, ze wspianiałemi sprzętami z dębowego drzewa. Miały one swoją tradycję i wiek, bo na szafie było jasnym inkrustem nałożone: „A. D. 1524”.

Zaniesiono skrzynki do pani burmistrzowej. Straż zostawiono na dole. Do komnaty weszli: dwudziestoletni, gołowąsy syn Klefelda i szwagier jego Stumberg, zażywny i pewny siebie miejski urzędnik, by przeprosić, że pani na ucztę przyjść nie może, gdyż jest niezdrowa, ale że dziękuje za podarki. Wąsowicz i Sierpinek czuli się nieco dotknięci, bo rozumieli, że przeraziła się ich rzemiosła korsarzy. Niebardzo też im dobrze było w tem towarzystwie. Zwłaszcza pana Wąsowicza, który przywykł na ucztach do hałasu, kępowała cisza, majestet sali i powaga gospodarza.

Rozpogodzili się rycerze nieco, gdy przyniesiono im wódkę gdańską w szklanej flaszy ze sławnego już handlu „Pod łososiem” i gdy przed nimi ustawiono kielichy na węgrzyna.

Uczta była dostatnia, złożona z pieczonych czeczostek, zuberzej pieczeni, dobrze skruszałej i biamek migdałowych.

Podpili też już sobie dobrze i podjedli, ale mimo wszystko czuli się dziwnie obco. Zapas humoru nie miał się gdzie uzewnętrznić. Mieli wrażenie, że młody Klefeld i Stumberg raczej boją się ich i szpiegują, aniżeli biorą udział w zabawie.

Poczęło to drażnić nawet spokojnego więcej na pozór, ale ambitnego i bardzo gwałtownego Sierpinka.

Wieczera kończyła się, gdy pod domem usłyszeli szcęk broni i wymyślanie sobie wzajemne czeladzi. Na pierwszy plan wybiły się dobrze rozwinięte głosy ich pachółków. Chcieli spieszyć z pomocą, gdy stary Klefeld powstrzymał ich:

– Proszę waszmościów pozostać! Ja tu jestem, wszystko zaraz będzie w porządku.

Zeszedł, a oni czekali niecierpliwie, mając się za oręże. Za chwilę wrócił zadowolony, znać, że mu wszystko poszło po myśli.

– Co się stało? – spytał Wąsowicz.

– Rzecz zwykła – odrzekł pan Klefeld. – Miejska straż zastała przed moim domem ludzi uzbrojonych o porze, gdy nie wolno nikomu zatrzymywać się na ulicach. Pachółkowie waszmość panów nie chcieli ustąpić. Stąd zgiełk.

– Wasza Miłość oddaliła więc straż? – spytał pan Wąsowicz.

– Odesłałem żołnierzy waszmość panów ku okrętom i powiedziałem, że taka jest wola waszmościów.

– I waszeć odesłał naszą asystencję, straż ludzi królewskich?! – spytał, blednąc, pan Sierpinek.

– Nie wiedziałem, że waszmościom zrobię taką dywersję – odparł chłodno burmistrz. Mogę za to wasze miłości odprowadzić do okrętów sam i z miejską strażą.

– Mogłeś Waszmość zrobić dla nas wyjątek od swoich miejskich praw. W całej Rzeczypospolitej wolnoby nam było ze swoją strażą chodzić.

– Od praw naszego miasta natomiast nie ma ustępstwa nawet dla króla jegomości! – rzekł Stumberg, dotąd posępny i milczący.

– Wasze obrażasz króla! – krzyknął pan Wąsowicz, nadając swej mowie umyślnie ton ubliżający.

– Zapomni o tem, gdy znowu poprosi miasto o pożyczkę na wojnę! – odparł tamten.

Na to pan Wąsowicz, którego podnieciły świeże zajścia, uraza, gniew i wino, cisnął na stół szklany kielich, tłukąc go przed pochyloną twarzą Stumberga.

Stumberg tchórzliwie pobladł, lecz chciał zwrócić się ku niemu, gdy czujny burmistrz wstrzymał go okrzykiem:

– Zapominacie gdzie jesteście. Nie u mnie będziecie się bili waszmościowie!

A Wąsowicz, w którym wezbrała cała wzdarda z powodu tej nieszlacheckiej, milczącej uczyty, wołał:

– Znam was, zdrajcy! Szarpiecie się nawet na imię królewskie. Czemuż to? Boicie się o kąt swój i pierzyny. Kazano wam w roku zeszłym ująć w porcie sześć okrętów szwedzkich, któreście w garści mieli, a wy pozwoliliście im odjechać swobodnie. Kupczyć wam jeno a przedawać, czartowi oddalibyście duszę za pieniądze. Lękacie się dołożyć trochę krwi i trudu do dobra Rzeczypospolitej, która was żywi, a wszystko, aby talera nie stracić, swawole jednej nie uronić. Proście nas na wieczerzę, a uczciwem słowem do nas się nie odezwiecie! Czekaćcie tylko, a da Bóg, stanie tu cała polska potęga na Bałtyku. Ja jestem pierwszym, ale za mną będzie dziesięciu innych. Co z wami stanie się, gdy wtedy będziecie musieli jeździć całować rękę królewską i o łaskawość ją prosić!”

Burmistrz starał się zwaśnionych pogodzić. Ale panowie Sierpinek i Wąsowicz nie chcieli już pozostać. Zmówili się z Klefeldem na nazajutrz rano, pozostawili strwożonych mieszczan, a sami poszli spać na okręcie.

Kiedy rozeszli się wszyscy, burmistrz w pokoju swojej żony, która oczekiwała go już leżąc w łóżku, otworzył skrzynki z podarkami, a tocząc przez palce lśniące srebrnym połyskiem sznurki pereł i koralów, tak – razem zadowolony i niechętny – powiedział:

– Dobrze, że odesłałem żołnierzy tych hultajów. Obawiałem się jakiejś burdy, więc zesłałem im straż miejską na karki. A oni się tu zaraz w moim domu do korda brali! Bóg miłościwy, że za wszystkie strapienia, które mam z ich powodu, mnie pozostał złoty łańcuch, a z tych pereł będzie piękny czepiec dla pani burmistrzowej. Muszę ja jednak tych pyszniących się frejbajterów przykrócić, by nadto nie wyrosli!...

Panowie Sierpinek i Wąsowicz wracali na statki dumni i pewni siebie, nie wiedząc, że dziś był dopiero wstęp do dramatu, który miał odbyć się za trzy lata. Wypędzono wówczas z miasta bezprawnie kaprów, kilku śmiercią ukarano, a gawiedź rozpędziła budowniczych, stawiających pałac królewski.

Rozpoczęły się długie instygacje sejmowe, Klefelda razem z drugim Gdańszczaninem śpieszącego na sejm, uwięziono i zamknięto w wieży na zamku w Piotrkowie, ale wypadki powstrzymały na razie, wbrew intencjom króla, stworzenie polskiej potęgi na Bałtyku.



## II.

Przyjaciół Wąsowicza, Piotr Hellburg płynął już w barce po morzu. W czasie, gdy towarzyszył jego przyjmował burmistrza Klefelda, on wynajął łódź w zatoce gdańskiej i odpłynął w złotych blaskach zachodu. Był to młody człowiek w wieku lat dwudziestu kilku, smukły, choć w ramionach, delją teraz okrytych, barczysty, z twarzą szczupłą, śmiałymi brwiami, o oczach ciemnych, bystro w dal zapatrzonych.

Gasnące słońce tonęło w morzu, nurzając się w blaskach błękitu i czerwieni. Równocześnie zerwał się silny wiatr, więc wydał trójkątny żagiel łodzi i niósł ją szybko, jak sierpem rzucił, przez fale. Przy sterze czuwał stary Kaszuba, rodem ze wsi rybackiej u Helu. Żyjąc jak inni z morskiego połowu, podjeżdżał nieraz pod Gdańsk i czekał na przyjezdnych. Powoli zmierzchły blaski ostatnie, wysrebrzały się otchłanie, a na wielkim zwierciadle przestrzeni odbijały tylko kontury łodzi i dwóch podróżnych.

Milczeli obaj. Wokoło rozpoczęła się już wieczorna, potężna modlitwa fal. Ale napływ silniejszych z nich powstrzymywał daleko półwysep Helu, więc stary rybak żeglował bez trwogi, wiedząc, że na miejscu stanie przed północą.

Piotr Hellburg, korzystając z ostatnich blasków dnia, dobył jeszcze i przeczytał list, który oczekiwał go w Gdańsku od dwóch miesięcy u władz portowych. Zawierał on zaproszenie do Rzęśnej, niedaleko stąd leżącego majątku Jakóba Wadzkiego, brata jego matki. Była to zarazem próba nawiązania stosunków, od szeregu lat zerwanych. A ponieważ znużył się już życiem na okręcie, zapragnął stałego lądu i nieco samotności, więc pożegnał się z towarzyszem, który, rozstając się z nim niechętnie, przyobiecał odwiedzić go wkrótce na wsi i przywieźć sam należny mu dział ze zdobyczy.

Piotr Hellburg czytał:

„Mnie wielce miły siostrzanie i panie bracie!

Nie widziałem waści od wielu lat, gdyż przejścia, jakie były między mną i ojcem twoim, choć majątności nasze „Rzęśna” i „Kamienne” nie były odległe, zdały się czynić jednak między nami przepaść pośrodku.

Dziś pozostałeś sam po skonie ojca i świętej pamięci siostry mojej, a swej macierzy. Ona grożąca nam wszystkim śmierć zagładnąć wrychle może i do mnie pod dach mój, gdzie przed sześćdziesięciu pięciu laty stała moja kolebka. Słyszałem, jako miejsca nie zagrzewasz, tylko, królowi służąc, po bujnych falach „Oceani” fortunę lotną gonisz. Nie wiem, by szlachcicowi godziło się inaczej, jak galarem z własnym zbożem na flis jechać, tandem, że czasy zmieniają się i nasz pan tak chce, za złe ci nie mam. Jeżeli jednak życzysz sobie otrzymać moje błogosławieństwo, a w synu moim znaleźć brata, jeślibyś i w nocy przybył, „cordialiter” cię przywitamy. Nie zwlekaj jeno, aby cię złe goście nie przegoniły. Zaczem cię losów i Boga łasce polecam. Twój wuj

Jakób”.

Młody rycerz zmrużył oczy i wyobraził sobie przed sobą rosłą jak dąb postać starego szlachcica. Stary wuj humanistą trochę był, składał wiersze i lubił mieć muzykę wszędzie, więc stale ze sobą chłopca ze skrzypcami woził. Ale ojciec Hellburga, przy wstępie do panowania łaskawie zapowiadającego się Zygmunta Augusta, jak wielu wówczas ze szlachty i mieszczan polskich, przystąpił do Reformacji. Uczynił to, jak się zdawało, nie przez ferwor religijny, ale głównie przez przyjaźń do wybitnych osób, które znalazły się w jej obozie. Wówczas Wadzki był u nich po raz ostatni.

Kiedy wyjeżdżał wieczorem, płakała matka, rodzic zamknął się w swoim pokoju, a na drodze od dwora głucho zadzwoniły podkowy. Nie załagodził się już spór od tej pory. Jakób

nie przyjechał też później na pogrzeb jego w lat dziesiątek, choć matka Hellburga, która pozostała przy katolicyzmie, uprosiła jakiegoś księdza, który, modląc się za siebie i za zmarłego, zwłoki trwożnie pokropił. Potem pochowano je prawie pokryjому, krzyżem miejsce znacząc, za sadem nieopodal domu.

Corocznie na wiosnę synowska ręka znosiła na ten grób białe gałęzie jabłoni lub różowe kwiecie wiśni, a matka modliła się tam, klęcząc długimi godzinami, za zbawienie duszy grzesznika.

Chmurne miał dzieciństwo Piotr, bo radość w nim złamały kłótnie, gorycze i swary. Wychowany w niesnaskach religijnych, nosił jednak w piersi wiarę czystą, marzycielską, zagadnień trudnych mimo mody czasu mało szukającą. Kochał przyrodę, lecz choć czuł w duszy swojej skrzydła, które miały zanieść go wysoko, mało we własne przysze szczęście wierzył. Wzrósł bez towarzystwa młodych, lecz wrychle wszystkich swoich preceptorów przegonił. Kochał księgi i lubił je czytać albo w wirydarzu na ławce pod drzewem osypanem liśćmi i kwiatami, albo choćby w zimie, w izbie dworu, ale przez okna w dalekie ośnieżone pola spoglądając. Najchętniej czytał te, które opowiadały o dalekich krajach, fantastycznych ludach napotykanym, ptaku Feniksie i innych jeszcze cudach, podając je za prawdę widzianą. Była między nimi książka, którą poił się najchętniej: głośne naówczas „Podróże i przygody Aleksandra Wielkiego”.

Czytał je, choć niebardzo w treść ich wierzył, ale nikt nie mówił mu napewno, że nie były prawdą. Świat jest tak szeroki, a tak mało znany... Hej! kto wie co tam jeszcze być może!

Wyszedł w owym czasie zakaz królewski wyjeżdżania do niemieckich uniwersytetów, a zwłaszcza do Wirtembergji z powodu szerzącej się tamże nowej wiary. Matka Piotra, która lękała się, by syn nie wstąpił w ślady ojca, wysłała go więc do Akademji Krakowskiej.

Przybywszy na miejsce, wszedł tam po raz pierwszy w życie swoich rówieśników, którzy wymieniali śmiało idee, żyli po bursach i oddzielnie, bujnie i po renesansowemu swawolnie. Brał udział w ich zabawach, o ile mu wrodzona duszy wysokość na nie pozwalała. W życie jego pełne dotąd marzenia weszły wesołość i słońce. Ale zabarwiony sceptycyzmem, nie wierzył w tej swojej radości trwałość. Doszła go istotnie wkrótce wieść o śmierci matki. Pozostawał już na wsi, gospodarując przez kilka lat pilnie, jako już szlachta poczęła, a czego wymagała zresztą majątność jego, jednowioskowa. Żył nieco odludnie i przyzwyczał się jeździć z rybakami na długie połowy na morze. Słuchał ich powieści, kochał burze i fale. Nęciło go to, czego nie widział, skryte oddaleniem, w mgłach horyzontu. Ale ponieważ miał w sobie duszę śmiałą i męską, więc przystał na statek, gdy dowiedział się, że pan Wąsowicz szuka na towarzyszy i oficerów szlachty braci.

Okręt pana Wąsowicza zwał się „Centaurus” W werbowaniu załogi dopomógł im starosta gdański, który królewską kiesą potrząsnął i wrychle im na okręt całą zbieraninę sprowadził. Byli tam pomniejsi kupcykowie, rybacy z pod Pucka i Helu, trochę drobnej szlachty, Angielczyk, dwaj Duńczycy z floty królewskiej, pachołkowie z Prus Książęcych, część wytrawnych, a część goniąca za lekkim zarobkiem. Złe języki mówiły, jakoby pan Wąsowicz przyjmował wprost wszystkie złoczyńce z wieży wypuszczone. Wszystko złało się jednak w jedną całość, skoro dowódca wniósł w to swój impet kawalerski. Zjednoczyła ich chęć zysku, a przeszkadzało zmowie, że jeden bał się drugiego.

Piotr, jako szlachcic „possessionatus”, uczony i dzielny, stał się wkrótce przyjacielem i druhem pana Wąsowicza. Właściciel „Centaura” czuł się zresztą dobrze pośród swojej hałastry. Oto wreszcie on, szlachcic polski, nie miał nikogo ponad sobą. Hetmanił sobie na okręcie i prowadził wojnę z kim chciał, jako, że więcej spotykało się po drodze nieprzyjaciół niż przyjaciół. Sprawiał się tak dobrze, że pisał o nim później rymopis, opiewając słabym wierszem zasługi Zygmunta Augusta:

„I morscy rozbójnicy odnieśli karanie  
Niejednego narodu: którzy żeglowanie  
Niebezpieczne okrętom do Gdańska czynili,  
Bo w krótkim czasie srodze porażeni byli.  
Zaczem Bałtyckie morze spokojnem się stało  
I męstwa jego ludzi rycerskich doznało...”

A jednak Wąsowicz miał w sobie wadę jedną, choć był rycerzem o fantazji królewicza, odwadze nieustraszonej i stworzonym poprostu był na korsarza. Oto zanadto lubił ucztować. Łowił ryby po drodze, sprowadzał inne produkty ze stałego lądu, i jak tylko mógł, prosił gości do siebie z brzegu na miód kowieński. Przedsięwzięcie rychło też poszłoby w niwecz, gdyby nie silna wola Piotra Hellburga.

Nie przystał on do korsarzy dla łupu, ani dla samej morskiej swawoli. Odpowiadało to jedynie jego żądzy znaczenia swojego szlaku w świecie, pragnieniu czynu, ale poza tem, skoro już wsiadł na okręt, rwało go coś poprostu w świat, byle dalej. Nigdyby nie przestał, nigdyby mu nie było dosyć daleko! Jechałby aż hen! ku skandynawskim fiordom, ku dalekiej Północy, choć wiedział, że tam jako korsarza czekałaby go śmierć niechybna. Zapalał się do niebezpieczeństwa. Upajał się grozą śmierci, gdy haki już połączyły dwa statki a czeladź brała się za topory. Wrzała mu wtedy krew i upajał się jego duch wojownika. Pochodząc z rodziny rycerzy, namawiał Wąsowicza na wyprawy coraz śmielsze.

Rozpoczęli swoją pracę od statku, który płynął z własnego ich Gdańska bez flagi w podejrzane strony. Kapitan zdołał im wytłumaczyć się, ale czując, że nań patrzą, zawrócił z drogi, bo wioził kontrabandę w krainy skandynawskie. Mieli później sposobność do schwytania szwedzkich posłów, którzy jechali do elektora, ale, że było to blisko wybrzeża, więc statek ich ukrył się w porcie książęcym. Chcieli go tam szukać, ale port i statek pokazały działa, a gdy posłali posłów i skarżyli się w dotkliwych słowach na hołdownika najmiłościwszego pana, komendant, dobrze, że posłańców wypuścił, bo odrzekł, że nic nie wie, jako król polski ma swoich korsarzy.

Z żalem więc w sercu i z urazą do sprzymierzeńca urządzili ze zmartwienia ucztę na pokładzie, gdy chłopak z bocianiego gniazda obwieścił statek elektorski, wiozący ładunek zboża do Rzeszy. Schwycili go zatem, zboże wysypali do morza, a oficerowi polecieli powiedzieć elektorowi, że skoro nic nie wie o istnieniu królewskich korsarzy, to oni nie będą się kłopotać w zabieraniu mu, co im się po drodze przygodzi. Nie wprowadzali tego jednak w czyn, ale poczęli krążyć pomiędzy Szwecją a Moskwą, w pobliżu Inflant. Tutaj dopiero zbierali gęsty łup, a Kawalerowie Mieczowi witali ich w kraju swoim gościnnie.

Wśród tego spotkało ich istotne niebezpieczeństwo. Koło Rewalu, gdzie łupili statki kupieckie i nawet wysiedli na ląd pod miastem, ukazał się przed nimi potężny, o półtora raza większy korsarski okręt moskiewski. Zagrzały działa z obu stron. Kule podziurawiły im żagle i banderę. Spodziewali się walki na śmierć i życie, ale kule ich uczyniły szczęśliwie otwór w boku przeciwnika, który lękając się zatonać, jak ongi okręt szwedzki w Prusach Książęcych, ukrył się w porcie.

Wreszcie znudziła ich obu ta walka. Poznali wiele świata, statek naładowali bogato, stali się groźnymi, więc postanowili odpocząć. Gdy przejeżdżano koło Prus, przesyłano im prowianty i pytano pokornie, czego im potrzeba? Spotkali po drodze pana Sierpinka i razem przyjechali do Gdańska.

Tutaj Piotr otrzymał swój list. Dziś wuj stanowił ostatnie ogniwo łączące go z rodziną, więc nie miał serca odpychać podanej sobie ręki. Był sam na świecie, rad więc wstępował w otwierające się przed nim progi rodzinne.

Mrok już zapadł. Była wietrzna noc księżycowa. Księżyc spoglądał przez pędzące chmury, a morze było mleczno-białe.

Piotr spytał rybaka, który siedział milcząc przy sterze łodzi:

– Daleko jeszcze?

– Już nie – odparł, wskazując brzegi, obok których się snuli.

– Piachy i sosny, jak tu wszędzie?

– Nie – odparł. – Po łąkach pszenice się złocą.

– Ho! ho! – pomyślał młody korsarz głośno. – To kraj zaczarowany. U mnie można się ledwo żyta doczekać. A to co? – spytał, wskazując w ciemności potężną grupę postaci fantastycznych.

– To skały. Po niejednej łodzi drzewa by tu szukać można.

– Brzeg niegościnnie – mruknął szlachcic. – Wnosząc z listu, wuj mój takim nie jest.

Wysiedli z łodzi, i na brzeg ją wyciągali. Kaszuba szedł i prowadził, niosąc toból Hellburgowy. Było tak jasno, że nie zapalał latarni.

Dwór spał... Kto inny niechętnie może byłby budził go w tej ciszy. Ale Hellburg, bywając wiele po świecie, nabrał śmiałości i swobody. Wiedział, że kto nie zechce to nie wstanie, a pośpiech jego tłumaczyły słowa wujowego listu.

Weszli w aleję otwartą. Rzuciły się na nich szczekające psy, które nie chciały ich puścić i próżno odganiał je stary Kaszuba, potrząsając kijem i wołając:

A tuś! a tuś! Harmider zbudził jednak nocnego stróża, który w psy wierząc widocznie, rozciągnął się pod jabłonią. Odwołał je, zbliżył się z kijem potężnym, ale widząc gościa, a za nim Kaszubę z tobołem, zaraz do dworu ich prosił.

Ale Piotr przedstawił się sam:

– Jestem Hellburg, siostrzan jegomości. Zali pan wasz dobrze się miewa i żyje jeszcze?

– Z łaski Boskiej żywie, choć mu – dzisiaj trzy tygodnie – władzę nieco w nogach odjęło. Ale wesół pan i krzepki, gości rad widzi. Mamy ich już dwóch dzisiaj, ale gotowy stoi jeszcze paniński pokój gościnnie. Proszę za mną.

– Paniński! – mruknął korsarz w kłopotcie.

– Chodź Wasza Miłość! u nas daje się zawsze gości, gdzie jest miejsce, byle było wygodnie. Kaszub prześpi się na sianie, bo noc piękna, a za to nie obudzima służby w czeladnej.

– Toś widzę świadomy jak na nocnego stróża! – rzekł Piotr, patrząc nań bystro.

– U nas wszyscy muszą wiedzieć... – odparł stróż, świecąc latarnią.

Nie zostawiono jednak Hellburga na jego łasce, bo w tej chwili obudzona hałasem wysunęła się jakaś postać męska, otulona dla pośpiechu w płaszcz futrzany, z pod którego wyglądały gołe nogi.

– Kto Waszmość jesteście? – spytał przybyły. Proszę w dom...

– Piotr Hellburg, siostrzan gospodarza.

– Tomasz Wadzki. Witaj bracie! – i równocześnie nowoprzybyły rozwarł jak mógł ramiona i uściskał gościa. – Skoro tak, to nie będę sobie z tobą robić kłopotu i ubierać się. Spirydjonie! świeć latarnią!

– Rad ojciec ci będzie – mówił, prowadząc go dalej. – Szczęściem, że obudziłem się, choć Spirydjon dałby sobie rady, bo u nas łatwiej w domu o gościa, jak o złodzieja. Psy dobrze strzegą. A teraz – rzekł, prowadząc go do pokoju – masz tu wszystko przygotowane, czego dla gościa trzeba. Że to pokój damski, więc nie masz zaraz przy łóżku butelczyny, ale Spirydjon ma klucz od spiżarni i co chcesz, to ci przyniesie. A teraz uściskaj mnie i pozwól, że pójde się wyspać.

Ramiona płaszcz rozwarły się znowu, poczem Tomasz, zamykając już z góry oczy, odszedł, a w pokoju pozostał Piotr sam ze Spirydjonem.

– Idź spać! – rzekł doń Hellburg, zabawiony tem przyjęciem.

Spirydjon nie ustąpił, tylko przyniósł domowe zakąski i flaszkę miodu. Poczem usunął się. Piotra otoczyła cisza śpiącego wokół domu. Psy szczekające zamilkły... Przez otwarte okno wbiegła do niego woń kwiatów. Po tyłu podróżach na morzu wydała mu się cudowną tą noc wśród wiejskiego dworu. Usnął i miał jak marzenie piękne, ciche jak bajka, dobre i dziwnie wróżące sny.

### III.

Przez otwory w okiennicach przeglądało już dawno poranne słońce, gdy Piotr począł się zbierać. Jak powinno być w gościnnym dworze, zaledwie w pokoju jego dostrzeżono ruch, przyniesiono mu ranną polewkę z wina, cukru, jaj i szafranu.

Gotów był zupełnie i wiązał pas, gdy otwarł na oścież skrzydła okiennic. I oto w ogrodzie przed sobą w altanie chmielowej posłyszał młody, dźwięczny śmiech niewieści. Nie mogło to do niego odnosić się, bo zasłaniały go wina i krzewy. Kto to być może? Wszakże wuj nie miał córki. Widocznie w gościnie u niego była jakaś młoda niewiasta? Nie zaprzatając sobie tem głowy, wyszedł na jej spotkanie do ogrodu.

Musiał przejść przez sień, obwieszoną rogami łosiów i jeleni. Ujrzał przed sobą sad, drzewa obciążone owocami, a w równych kolonjach kwiaty świeże, róże, tulipany, glicynje i tytoń, ruta i lawenda. Śnać przykładano ogrodowi wiele starania, bo widział tam różne krzewy u nas rzadkie, sprowadzone z za morza.

W chłodniku na ławce czekał nań wuj w towarzystwie tęgiego Bernardyna i łysiego szlachcica, dość milczącego i spoglądającego z podełba. Byli to dwaj wczorajsi goście. Jeden dla gospodarza gość miły – Bernardyn, a drugi – szlachcic do rodziny podróżujący, który chciał zajechać do karczmy, więc godziło się w dom go zaprosić. Nie było tam już jednak więcej nikogo.

Nie wstał wuj z ławki, gdyż i tak już, gdy chodził, musiano go prowadzić, ale jak wczoraj syn wyciągnął dłonie do Hellburga i pochylonego do swej ojcowskiej piersi przyciągnął serdecznie. Słabość i wiek wycisnęły znamię na jego barczystej postaci, ale z ust okolonych siwym wąsem i przymrużonych wesoło oczu tryskał humor, którego nic znużyć nie mogło.

Zaraz też wysłał Bernardyna ku znajomym miejscom w agrestie, gdzie pod krzakiem stały kieliszki i ku porzeczkom, gdzie dumiała sędziwa faszka miodu.

– Czekaliśmy Waści – rzekł do siostrzana – aleś snadź znużony spał mocno. Nie dziw zresztą, bo dostałeś pokój, w którym przebywa starościanka Sieniatycka, ile razy nas nawieździ. Piękna to panienka i da Bóg, narzeczona mojego syna. Pięknaż ona, ojciec Bonifacy?

– Piękna bo jest, ale sroga! – rzekł Bernardyn.

– Co ksiądz wygadujesz! jaka sroga?

– Trapi tak okrutnie syna Waszej jegomości, że schnie jak szczypa, a staje się niemową, jak rura od barszczu.

– Pij ksiądz miód i chowaj sobie swoje „jowialitates”. Zwykłe to rzeczy w takiej miłości, że jedna strona schnie albo zgoła obie. Dobrze zresztą, że go trzyma, bo już chłopak zanadto w moje ślady wstępował. Prawda to, panie Korabiewski?

Łysy szlachcic błysnął okiem, spojrzął w szklenicę, pociągnął łyk i nic nie odpowiedział. Stary Wadzki spojrzął na niego z niechęcią, zlekka splunął mu za plecy i ciągnął dalej:

– Tomasz wyjechał rankiem konno i dlatego waści przywita dopiero później. Nie wyszedłem do ciebie wczoraj w nocy, bo mi widzisz władzę w nogach odjęło i choć iść mogę, ale na dwóch sługach wsparty, i to z kłopotem. Nie spodziewałem się ciebie tak rychło, albo już wcale nie, bo nie masz dla szlachcica nic zdradliwszego, jak gładka białogłowa, albo podróż morska. Mieszkamy wszyscy z łaski Boskiej nad Bałtykiem, jest tu u nas i statek niewielki nowy. bo stary u brzegu burza rozbiła, ale przecież wolałem zawsze jeździć konno, łądem. Nie rwałem się do cudzych krajów, a dobra dość mam z łaskowości Boskiej, bym jeszcze potrzebował za morze za niem gonić...

– Wiedząc też o tem – rzekł Piotr – nie śmiałem wujowi jegomości z podróży żadnych większych darów przywozić. Natomiast znając jego zamiłowanie do muzyki, postanowiłem

za życzliwość jego dać mu dowód swojej o nim pamięci. Przywiozłem mu też instrument, na którym nieprzyjaciele nasi głośne harmonje wyczyniają.

– Co to przywiozłeś Waszmość? – spytał szlachcic, pomimowoli pełen ciekawości.

– Muszę iść do swego pokoju. Nie wziąłem tego z sobą, gdyż w jednej ręce się nie zmieści...

– Idźcież pomóc, ojczyźnie Bonifacy! – rzekł starzec, który spodziewał się jakiegoś żartu, ale ponieważ nad życie kochał muzykę, umierał z niecierpliwości.

Piotr z Bernardynem odeszli, zaczęli zaraz wrócili, niosąc wielki sprzęt w kolorowe chusty zawinięty. Młody korsarz oddał go w ręce Wadzkiego.

– Nie wiem, żali muzyka jego ucieszy ucho wuja jegomości, ale jest to obój moskiewski tak silny, że od wszystkich rogów głośniejszy, a wśród burzy i zgiełku fal słyszeć go można prawie na milę.

– Obój! – zdumiał się, spoglądając na instrument, wychylający się z ukrycia pan Korabiewski.

Stary szlachcic spróbował grać. Nie umiał jednak wydobyć żadnego dźwięku. Wówczas Piotr pokazując, jak to należy czynić nie całym tchem, ale kunsztownie, zadał tak silnie, że szklanice zastrzęsły się, wuja uniosło aż na krzesło, a pan Korabiewski uczynił ręką znak krzyża, jaki, będąc pobożnym, czynił wśród grzmotów.

– Dziękuję ci, siostrzanie – rzekł ubawiony szlachcic. – Rozumiem, że używacie tego w służbie morskiej, gdy trzeba czasem porozumieć się daleko. Będę mógł pokazywać gościom, na czym nieprzyjaciele nasi grają. Zgadłeś moją skłonność i daj Boże, byś, odjeżdżając odemnie, nie powiedział czego innego.

Zabawiali się tak długo opowiadaniem przygód, aż wreszcie ucichli. I oto przyszły do nich z głębi ogrodu lekkie dźwięki muzyki innej, wesołej, a melancholijnej, które wypełniły przestrzeń całą.

Zdawało się, jakby dźwięczały liście i drzewa, słyhać było brzęki pszczoł i lot drobnych much o skrzydłach błękitnych, jakaś świeżość wiosny napełniła ten ogród, przepełniony już bogactwem jesieni.

– Kto to gra? – spytał Hellburg.

– Nie dziwię się, że nie wiesz, mój siostrzeńcze! rzekł Wadzki. – Nie widzieliśmy się tyle lat! Mamy tu pannę w domu. „Ondyna”. Grywa rzadko, ale piękniej nawet od mego Czecha muzykanta, a jak pocnie muzykować, ogarnia nas wszystkich melancholją i tęsknotą. Nie owe czarne, złe smutki, ale takie, jakie idą ku nam od rozkwitłych wiśni, lub takie, kiedy w słońcu stoi sad pełen grusz przed jesienią. Stary jestem i chory, ale kiedy to słyszę, budzi się we mnie krew i czuję się pełnym sił i młodości.

– Muszę ja dziewczeczkę poprosić, by zagrała mi raz na sumie w kościele – mówił myślący zawsze o chwale Bożej Bernardyn. – „Qui cantat, bis orat”, a taka muzyka więcej jeszcze od śpiewu warta.

Muzyka szła dalej, ale zmieniła się i zrozumiał ją tylko Piotr. Śpiewała teraz jakiś sen jesienny, opowieść o miłości odzyskanej i znowu straconej, o białym morzu w zimowej szacie zastygłym wśród gór lodowych, o górskich limbach, świeżych gór powiewach i o tęsknocie wszystkich dusz za szczęściem.

Nie wszyscy ją rozumieli. Ale wszyscy słuchali w zamyśleniu. Nagle muzyka, która podeszła już blisko, ucichła. Stary Wadzki zawołał:

– Ondyno!

Z krzaków jak kwiat wychyliło się dziewczę, ubrane białą, powiewnie. W jej ubraniu było coś dziwnego, od innych odmiennego. Była przystrojona w modę włoską i miała rękawy bufiaste, krzyż koło szyi, a na stopach aksamitne, białe pantofelki. Suknia jej była skromna, jak na dzień powszedni, ale kibić jej obejmował złocisty, wąski pasek ze sztyletem. Na ramieniu, na taśmie przewiesiła luteńkę.

Miała oczy wąskie, zadumane, bladoniebieskie, duże, gdy się ku niebu podniosły... Twarz białą, włosy jasne, ręce gładkie i delikatne. Była piękna, ale uderzała przede wszystkim cudownością, jakąś odmiennością od innych. Odznaczało się to w ruchach, w głosie, w postaci.

Stary Wadzki rzekł:

– Panna już znasz pana Korabiewskiego. Oto mój siostrzan imci Hellburg, który, jak wiesz, po morzu zbójował.

Spojrzeni na siebie, nic nie mówiąc.

Lecz stary szlachcic ciągnął dalej:

– Idźcie się przejść, a nas starych przy miodzie ostawcie!

Hellburg nie dał się prosić. Równocześnie zastanawiał się jednak:

– Kto ona jest? taka piękna i niezwykła. Nie słyszał nigdy, by wuj jego córkę posiadał.

Wszystkie te myśli, z poczuciem czegoś niezwykłego, błąkały mu się w duszy. Ona odgadła je. Patrzyła nań uśmiechnięta. Ale nie pomogła mu w niczem. Szli dalej.

Wreszcie rzekła:

– Musiałeś Waszmość widzieć wiele dziwów przyrody w podróżach swoich?

– Nie piękniejsze one jednak od naszych polskich brzegów – odparł.

– Poczóż w takim razie jeździć? – spytała.

– By nasycić duszę życia pragnącą. Oto teraz tutaj jesień szczęśliwa i bogata, a na Bałtyku gotują się burze, tem silniejsze, im dalej jest na Północ. Ciągła różnorodność... walka... nieswiadomość, czy się jutro doczeka. Niepokój się ma jako życie, a spokój – jako nagrodę.

– Czyli taka wielka nagroda w spokoju?

– Gdy w tym spokoju jest miłość, szczęściem on jest, choć jest niepokojem.

– Czyli: Waszmość wierzysz w miłość?

– Nie wierzę w nią w życiu mojem. Złe moce mię niosą. Wolę podróżować. Gdyby nie była wojna, pojechałbym statkiem swoim jeszcze daleko, aż za fiordy skandynawskie.

– Niebezpiecznie tam jeździć – odparła. Czy Waszmość zna bajkę o tamtych krajach?

– Różne znam, które są sagi albo legendy, ale nie wiem, czy znam opowieść Waćpanny.

– Mówią, że jak na morzu bywają zwodnice, albo Syreny, tak samo takie zwodnice są i na dalekiej Północy. Są śnieżnobiałe, urodzone z blasków srebrnego miesiąca, wywodzą podróżnego w dalekie śniegi, aż ginie tam z chłodu i głodu. Stąd nikt z podróżnych, którzy tam iść próbują, nie powraca.

– Azali nie można im się obronić? – spytał Piotr.

– Silne są i oprzeć im się nikt nie może. Szli dalej i milczeli przez chwilę.

– A ludzie – spytała. – Jakich Waszmość ludzi spotykał?

– Najbiedniejsi są ci, którym wolność odebrano. Więcej jest takich, którzy stworzeni są, by słuchać, ale nie zawsze rządzą najlepsimi.

– A waść – spytała – na co jest stworzony?

– Na to, by walczyć i szukać.

– Czego? – spytała.

– Połowy duszy, która ginie, nie mogąc doczekać się snów swoich spełnienia.

– W czym się one sprawdzić mogą?

Na to odparł, prężąc swoje młodzieńcze ramiona:

– Może we władzy, może w śmierci, może w sławie...

Spodobał jej się. Ona zdumiewała go. Szukał dotąd u kobiet dobroci sielskiej, słodczy złotych łańców i bławatków. Tutaj spotykał dziwczynę młodą, trochę sobie obcą, ale z piersią silną, nad czołem z sokołem piórem.

– Waść nie lękasz się śmierci? – spytała.

– Nie! – odrzekł. – Lubię jej zaglądać w oczy. Zaglądałem jej nieraz w czasie walk na morzu, ale ona bała się. Uchodzi ona od tych, co jej się nie lękają. Cóż zresztą ma czynić młody szlachcic, dla którego wojna jest matką i od niej zależy jego przyszłość.

- Nie masz Waćpan nikogo drogiego na świecie?
- Sam jestem – odparł smutnie.

Przeszedłszy się po ogrodzie, znaleźli się znowu przed dworem. Zastali tam kolaskę, którą kazał sobie sprowadzić pan Korabiewski. Ale stary Wadzki z synem, który już powrócił, nie mieli serca puścić gościa, chociaż był im niemiły. Stary Wadzki trzymał go za połę i wołał:

- Nic to, dobrodzieju. Nie puścimy Waćpana bez obiadu.

Pan Korabiewski udawał przez chwilę jeszcze, że chce odjechać, poczem machnął ręką i kazał koniom zawracać z powrotem.

– Zobaczysz Waćpan, że zostanie tu teraz przez dwa tygodnie... – trapił starego szlachcica Bernardyn, który z nimi stał na ganku i skorzystał z chwilowego odwrócenia się gościa.

– Wola nieba, a dopust Boży! Na czczo go jednak nie puszczę – odparł szlachcic, który kazał się już zawieźć do stołu na krzesło toczącym się na kółkach.

Piotr z Tomaszem przywitali się serdecznie. Było między nimi podobieństwo rodzinne, choć Tomasz był silniej zbudowany i o dwa lata młodszy. Miał Hellburg i dla niego podarek, karabelę turecką w jaszczur oprawną. A kiedy Tomasz wymawiał się, rzekł:

– Łatwiej mi to przyszło niż myślisz, panie bracie. Nie szła ona tu prostą drogą, ale złupioną była przez Moskali na Turkach, a na Moskalach przezemnie. Dobra wszelkiego dość nawiozłem, by cały mój dwór ozdobić i ściany puste przystroić. A miłości braterskiej potrzeba mi jako chleba powszedniego.

Ucałował go za to Tomasz w oba policzki, gdyż miał serce miękkie i łatwo topniejące, a ojciec, który to zobaczył, klasnął w ręce i zawołał:

– Widzę, iż słusznie uczyniłem, prosząc Waszmości. Rodzina nasza rozeszła się po świecie, nie wiedzieć gdzie, niechże się trzymają ci, co zostali. Bolałem ja kiedyś nad tem, gdy posprzeczaaliśmy się z ojcem twoim. Wszelako wiesz, że były potemu przyczyny, których usunąć się nie dało. Bolała też nad nimi i płakała przez lat tyle matka waści. Bóg jednak strzegł, że w tobie nic z zasad rodzica nie zostało.

Potem począł wypytywać go o stosunki majątkowe, sąsiedztwo i odniesione w ostatniej wyprawie zwycięstwa. Dziwił się królowi, że zapragnął morskiej potęgi i prawil:

– Gdyby to nasz najmiłościwszy Zygmunt August miał te miliony, które wywiozła z sobą królowa Bona i zostawiła w Neapolu, to mógłby sobie piękną flotę wystawić.

Tutaj spróbował wtrącić się ojciec Bonifacy i powiedział:

– Ale gdyby też zebrała się nasza szlachta, a każdy dał, możnaby małym wydatkiem utrzymać nie tylko flotę, ale wojsko najemne.

Na to obruszył się pan Korabiewski, który dotąd siedział milczący:

– Niedoczekanie! – rzekł. – Wszystko na szlachtę! Niedochć jej samej rzemiosło rycerskie sprawować, krew przelewać, ziemi swej bronić, urzędy nosić, jeszcze podatku żądają. Dam ja, dam, gdy tylko Sejm uchwali, raz i drugi, skoro potrzeba królowi jegomości. Ale abym płacił co rok i przez to oprymował swoją wolność złotą, na to się nie zgodzę.

Tu grzmotnął pięścią w stół, aż szkło zabrzękło. Tymczasem zaproszono ich do drugiej izby, gdzie już stał przygotowany stół podłużny, białym obrusem przykryty. Ozdobiony był serwisem srebrnym, w którym miejsce najbardziej zaszczytne zajmował srebrny kosz na owoce, ozdobiony Orłem polskim. Przed obiadem obnoszono do rąk umycia misę z wodą i ręcznik długi, pięknie haftowany. Sztućce, łyżki i nożyki każdy miał ze sobą, skąd panowała wielka w nich rozmaitość. Niektóre były bardzo piękne, jak przybory Ondyny o koralowej rękojeści.

Piotr usiadł naprzeciwko swej towarzyszki z ogrodu, dalej jednak, ku końcowi stołu, bo gości starszych wiekiem było więcej. Spoglądał więc zdaleka na jej twarz i włosy jasne, przy czem zauważył, że usta jej, rankiem blade, teraz zarumieniły się i nabrały barwy szkarłatu. I ona rzucała czasem ku niemu wzrok, który niepokoił go i zdawał mu się w sercu ogień jakiś zapalać. Przez otwarte okno biegł świergot i won ogrodu.



Stary Wadzki opowiadał anegdoty o ojcu Bonifacym:

– Bo to, proszę waszmościów, gości u siebie lubi, a dających na klasztor nad życie kocha. Opowiem wam, przy jakiej poznałem go sposobności. Polowaliśmy raz we czterech w kniei na jelenie, wstaliśmy rano wcześniej, było już na południe. Mało tam co który do ust wziął, widzimy, jedzie drogą ksiądz Bernardyn. „Pozwólcieno Waszmościowie do mnie na obiad. Kościół piękny, chuda fara, ale dla dobrodziejów będzie indyk i dobre piwo stąd o pół godziny”. Nie bardzo nam było poręcznie tam jechać, bo już jeden z nas obiad przygotował. Ale była miła, więc do księdza bliżej. A przytem ksiądz serdeczny, a wesoły, zaprasza, że ani mu odmówić. Jedziemy. Z pół godziny zrobiło się trzy, a gdy przyjechaliśmy, furtę otwarto, wybiegł naprzeciw nam brat kanafarz.

Pyta się ojciec Bonifacy:

– Jest obiad?

– Niema – mówi brat kanafarz.

– Niema? – a gdzież indyk?

– Indyka w nocy kuna zjadła, więc uprosiliśmy sobie rybkę ze dworu, ale że bracia byli głodni, a ojca nie było widać, więc nawet ości nie zostały.

Musieliśmy jak niepyszni jechać z powrotem. Ale pojechał z nami już i ojciec Bonifacy, który wziął z sobą dwie butelki na drogę i dwa wieńce obwarzanków. Takeśmy z jego gościnności obiadu do wieczora nie jedli.

Stropił się ojciec Bernardyn, ale pocieszył go zaraz Wadzki, mówiąc, że przez jego „jovialitates” wcale głodu nie poczuli. Snać słusznie mówią, że „pokarm jest w słowie Bożem”.

Pan Korabiewski, który wysilił się, by przemówić w obronie złotej wolności, spożywał teraz nieustannie i co się dało, ale w skupieniu ducha i milczeniu. Słowem zachowywał się jak ten, o którym mówiła współczesna piosenka:

„Siedzi sobie niby kół,  
Patrzy tylko milcząc w stół,  
Pcha na środek swe talerze,  
Tobie dają, a on bierze...”

Wreszcie wstali od stołu. W czasie obiadu przygrywał im Czech, nadworny starego szlachcica lutnista. Przy winie poczęły się już piosenki, a potem pożegnania, bo pan Korabiewski, mimo przypuszczeń, jednak odjeżdżał. Zajechała czwórka brzęcząc chomątami, prowadząc wyszarzaną mocno przez drogi kolebkę i gość obcałował wszystkich – i śpiący, jako że dużo zjadł i wypił, pomknął ku dalszym swoim losom, żegnany słowami:

– Niechaj Bóg prowadzi!

Młodzi we troje wyszli przed dom. Wówczas Tomasz do Hellburga rzekł:

– Nie widziałeś jeszcze naszej majątności. Chodź! pójdziemy we troje na czaple.

– Mamy i sokoła – odparł. – Ale my pójdziemy z kuszą.

– Dobrze – powiedział Piotr, nie dziwiąc się, bo łuki były jeszcze dosyć w zwyczajaju.

– Pozwólcie mi tylko waćpanowie przybrać inne szaty – rzekła panna – poczem pójdziemy razem.

Chciał Hellburg skorzystać z chwili i spytać swego wujecznego: kim i skąd jest Ondyna, ale ten począł mu zaraz opowiadać o swojej starościance Sieniatyckiej, nie przypuszczając, by, chociaż on jej nie zna, co innego mogło go zajmować.

Widocznie Tomasz i Ondyna przywykli patrzeć na siebie, jak na brata i siostrę. Tomasz był zresztą za prosty, za zwykły dla niej, ona więcej była marzycielską i fantastyczną. Nie chciał Piotr przeszkadzać mu w temacie, który go tak zajmował. Dowiedział się, że starościanka jest ciemnowłosa, średniego wzrostu, ale bardzo żywą i dowcipną, lekko ważącą sobie serce ludzkie. Jest grymasną i uważa się za zmęczoną, jadąc nawet kolebką. Ale po za

tem, nie mówiąc o stosunkach rodzinnych i fortunie, posiada tyle cnót, tyle zacności najróżniejszych, że Tomasz mięknie w jej rękach jak wosk i wogóle nie wie, co się z nim dzieje. Tymczasem towarzyska ich powróciła otulona w płaszczyk lekki i w czapce z kitą na głowie. Wówczas po raz pierwszy Piotrowi się wydało, że w zarysowanych jej słodko ustach śpi jakiś nieugięty wyraz stanowczości. Wogóle cała wydała mu się muzyką, ale nie umiał zdać sobie sprawy z wrażenia, które, nie wywołując w nim jeszcze miłości, budziło już niepokój.

Po za dworem, w pobliżu folwarku był staw. Wznosiło się nad nim wzgórze, przez olsze pokryte. Ujrzeni nad niem czaple kołujące. Podeszli leśną ścieżką, gdzie stał samotny, stary dąb i skradali się ku niemu cicho, bo ujrzeni, że na nim ptaki usiadły.

Podał Tomasz Ondynie kuszę:

– Chcesz? – spytał.

– Nie! – odrzekła, nie przyjmując, – wszak wiesz, że nigdy czapli nie zabijam.

Nagle dzikie gołębie, które nieraz z czaplami razem chodzą, zerwały się czujne pierwsze, bo dostrzegły nieprzyjaciela. Ale Tomasz zdjął już tłoczony sajdak ze skóry i strzała leżała w kuszy. Sprawna cięciwa wybiegła szybko, w oczach ledwo widoczna i jedna ze wznoszących się już czapli wydała krzyk, zgięła szyję i w niedalekiej przestrzeni od nich w dół upadła.

Rzucił się ku niej chart, który był z nimi, ale w tej chwili dopadł ją Tomasz, i wrywając jej czub piór, najpiękniejsze zatknął przy czapce Ondyny.

Biedna czapla leżała u ich stóp, w bieli swoich piór, zboczona krwią i martwa. Ale wnet miało zgasnąć inne także życie. Ondyna wysunęła rękę, by wziąć kuszę od Tomasza...

Nad głowami ich wysoko ukazał się jastrząb. Krążył, poczem zniżył się, śledząc gdzieś zdobycz. I oto ku niemu z rąk Ondyny wybiegła, przesywając go, pierzasta strzała.

Tomasz zaklaskał z radości.

– Czemu taka różnica? – spytał Piotr. – Nie widziałem nikogo jeszcze, równie zręcznie strzelającego z kuszy, ale czemu waszmości panny ręce białe nie chciały przyjąć kuszy, gdy chodziło o czaplę, a same pochwyciły strzały na jastrzębia?

– Śmierć za śmierć! – odparła. – Jastrząb rabusiem jest, rycerz ginie od miecza. Biedne czaple nie szkodzą zbyt nikomu bardzo, że razem z mewami szukają sobie drobnych ryb w naszych stawach i rzekach. A mewa i czapla to moje ptaki. Piękne zresztą są. Białe i smukłe, lotne, zwiedzające dalekie przestrzenie, ptaki mojej duszy. Pozwalam je zabijać, bo dają mi swoje pióra, a nadto są to ptaki z mojego królestwa.

– Królową jesteś! – może być – zaśmiał się Tomasz weselo, rad z jej słów i zręczności.

W słowach jego zadźwięczała pewna cześć obok braterskiego uczucia. Jastrzębia złożyli tymczasem obok czapli. Chodzili jeszcze do wieczora we troje. Podeszli potem ku morzu, gdzie powoli gasnęło słońce.

– Czas wracać! – rzekł Tomasz.

Kiedy już byli blisko domu, rzekł Hellburg:

– Jest mi dobrze jak w niebie. Pierwszy raz w życiu tak. Są wkoło mnie ludzie dobrzy i weseli. Zdaje mi się, że żyję we śnie...

– Sny się czasem sprawdzić mogą – odparła Ondyna.

Otwarły się przed nimi drzwi starego dworu.

#### IV.

Tomasz Wadzki pojechał konno, by zaprosić starościca Sieniatyckiego z siostrą. Oczekiwano przyjazdu jego i gości w jeden z dni pobytu tutaj na wsi Piotra Hellburga.

Towarzystwo zebrało się, jak zwykle, popołudniu przed dworcem, tylko, że stół wyniesiono dzisiaj w stronę inną, skąd, ponieważ dwór leżał na wzgórzu, roztwierał się piękny widok na okolicę, niewyniosłemi górkami zamkniętą. Pokrywały ją lasy sosnowe lub drzewa liściaste, a u stóp ich leżały ugory bagnisk mleczem kryte i leśne łąki, które uprawą nietknięte, rosły sobie jak Bóg dał, gdyż i tak ziemi do rozporządzenia było zbyt wiele.

Obok dworu stały stodoły drewniane i niewielki lamus murowany, o zakratowanych oknach, z gotyckich jeszcze czasów, mocnymi kamiennymi szkarpami podparty.

Tam dalej, za wzgórzami, gdyby kto dojrzeć mógł, rozciągała się piaszczysta płaszczyna, schodząca aż nad morze, w Bałtyk ciemny.

Tutaj roztwierał swoje ramiona gruszowy i jabłonny sad, obciążony owocami. Wszystko zalewało światłem słońce, nie palące już, ale ciepłe jeszcze i złote, jakby ostatni uśmiech gającego lata...

Siedzieli przy stole Wadzki, ojciec Bonifacy, Ondyna i Hellburg, który, przybywając tu, nie wiedział, jak ułatwił Tomaszowi sprowadzenie jego ukochanej.

Chociaż szlachta sama nierada była wyprawom, przecież nazwisko młodego korsarza rozniosło się już rozgłosem wszędy na Pomorzu. Opowiadano wiele o skarbach, które przywiózł, o zwycięstwach, które odniósł w towarzystwie pana Wąsowicza i podziwiano go niby zamorskiego ptaka. Tomasz skorzystał więc ze sposobności, by wyprawić się po pannę, do której uczuwał afekt strzelisty.

Stary Wadzki umacniał go, gdyż bardzo pragnął tej młodej szlachcianki dla swego syna.

– Bóg widzi! – rzekł raz do Hellburga, – że chciałem, by pobrali się z Ondyną. Ale zobaczyłem, że ona nie dla niego, ani on dla niej i nicby stąd dobrego nie wynikło. Jego trzeba dobrze za czub wziąć, bo to chłopak szczerzy, lecz swawolny, a ona łagodniej i wyżej od niego lata. Bolało mnie to, ale rzekłem: Wola jego! Teraz on się zapalił do starościanki. Dziewczyna też jak srebro, ale Sieniatyckich gniazdo dobre. Innyby zdał się dla Ondyny...

Tu spojrzął na niego, a potem mówił:

– Przed Bogiem i ludźmi córką moją jest i wiano dla niej dam, jak dla córki. Nie skarżyłem się nigdy na nią, bo zawsze cicha była i łagodna, jak sen dobry. Dość też spojrzeć na nią, by widzieć, że byle kto jej nie urodził.

Wiedział już Hellburg, że w życiu Ondyny była tajemnica, i że jest Wadzkiego córką przybraną. Na słowa jego jednak zmieszał się, bo nie myślał dotąd o tem, by mogła być jego żoną.

Nadto nie chciał porzucić jeszcze swego rzemiosła wojownika. Ile razy jednak rozstawał się z Ondyną wieczorem, to słowa jej kołysały go przez noc całą i cieszył się, że nazajutrz nie zmieni się nic, i że ujrzy ją znowu.

Z nią też spędzał głównie dnie, o ile pozwoliły mu na to jazda konna, polowanie i długie zasiadanie przy kielichu. Muzyka, która z sobą zdawała mu się nieść tęsknotę, spoiła jego duszę czarem zaświatów, budziła w nim tęsknotę ku przestrzeni, ale zarazem kapała go jakby świeżym wiewem od gór śnieżnych, czy od pól szerokich.

Teraz też stanął przy niej, gdy przed ganek zajechała czwórka gniadą kolaska.

Wysiedli goście. Przywitani się z gospodarzem, poczem starościc, żywy i dzielny, ale nieco pyszny wobec nowych, a zwłaszcza sławnych znajomości, zwrócił się zaraz w stronę Ondyny z pośpiechem, żywego zajęcia się dowodzącym. Gdy przywitała się z nim obojętnie, nie od-

dalając się od towarzystwa, starościc zbliżył się wtedy ku niemu, tak jak stał, brząkając karabelą, trzymając w ręku futrzaną czapkę z czaplem piórem i zapoznał się z nim dość górnio i niechętnie. Widząc jednak, że niełatwo będzie w stroju nawiązać rozmowę, cofnął się w stronę, gdzie stała jego siostra, stary Wadzki, Tomasz i ojciec Bonifacy.

Bernardyn został tu jeszcze na wsi, bo stary szlachcic czuł się naogół niedobrze. Nie zmienił mimo to swego życia, gdyż nie wierzył, by mu to co pomogło, a pragnął umierać weselej. Dziś czuł się lepiej, więc kazał zatoczyć swoje krzesło na dwór, pod dęba, gdzie gościom podano miód i owoce.

Piotr tymczasem zestawiał w myśli Ondynę z witającą się z nią panną Sienatycką i zastanawiał się czemu pierwsza wydaje mu się tak przy tamtej pełną serca i duszy. Ale starościanka dała sobie rady i z nim wkrótce i wciągnęła go w wir rozmowy, żartując odrazu ze starym Wadzkiem i ojcem Bonifacym.

Tomasz, zamiast usiąść przy niej, tracił głowę, gonił i pilnował, aby wszystko było zastawione, choć tego nie było bynajmniej potrzeba, i tak przepadały mu niepowrotnie chwile drogiego czasu, a jeszcze zyskiwał żarty starościanki za niezgrabność.

Ponieważ Piotr miał już koło Ondyny stałe miejsce, więc Sienatyckiego usadowiono naprzeciwko obok Bernardyna, który bawił go facecjami. Ale on, widząc naprzeciw siebie parę, żywo i z sobą tylko rozmawiającą, czerwieniał, krew nabiegała mu do uszu i widocznie szukał sposobności do zaczepki.

Gdy już nadto raz uczuł się w złym humorze, wydało mu się wszystko czarnem i niechętnem. Zdawała mu się, że Hellburg nie spogląda na niego, by mu dać poznać, że go lekceważy, ksiądz rozmyślnie zaprzęta go rozmową, a wszyscy drwią z niego, że tak dał się od panny, do której palił się od dłuższego czasu, przez pierwszego gościa odsadzić.

Towarzystwo niewiast niezawsze uspokajało wówczas młodych ludzi, bo byli i tacy, którym się do tego śpieszyło, by w ich towarzystwie pokazać się po rycersku. Podpił więc sobie dobrze miodem, a gdy poczuł, że mu ciepło, wmieszał się do ich rozmowy:

– Waszmość nie zdajesz się mnie widzieć, a przecież, chciałbym się dowiedzieć, jak ci się to zbójowanie po morzu powiodło?..

Poczem widząc, że już wywołał zamieszanie, ciągnął dalej:

– Nie było tego do naszych czasów, by szlachta pospołu z mieszczanami podróżnych morskich obdzierała. Nie dziwię się zatem manjerom waszmości, ani chociaż chcesz, nie możesz mnie obrazić.

Tutaj zrobił minę zadowoloną ze swej zręczności, gdyż winę zwał na przeciwnika.

Piotr jednak odparł mu chłodno:

– Nie mam zamiaru obrażania waszmości, bo zajmuję się tymczasem rzeczami ciekawszemi, anim nie podpił sobie miodem, bych sam, gościem będąc, innych zaproszonych napadał.

Na to odrzekł tamten:

– Pójdźno, panie korsarzu, na pałasze, jakeś taki dzielny.

Na to Piotr:

– Hamuj się waść, bo rychło krew ci przez policzki wyskoczy, niech ano nie myślę, że biję się z rakiem morskim.

Dość tego było Sienatyckiemu. Mimo krzyku siostry, rzucił się na Hellburga z karabelą. Piotrowi również obecność Ondyny kazała tem więcej pomścić obrazę. Skoczył więc ku niemu. Zrobił się hałas, zamieszanie, stary szlachcic kłął, Bernardyn rozdzielał walczących, a Tomasz prosił, by przestali.

Sprawę załagodzono. Sienatycki musiał wobec ogólnego napierania ustąpić, a Piotr obiecał sobie obrazę załatwić przy najbliższej sposobności. Ale nie pozwolono im tak pozostać. Zaprowadzono ich do kielicha i zmuszono wypić darowanie wszelkiej urazy. Że jednak obaj byli ambitni, więc podali sobie tylko chłodno ręce, a niechęć do siebie, jak osad, pozostała im w sercu dalej.

Starościanka, która nie podzielała uprzedzeń brata do korsarzy, rozpaczła przed starym Wadzkim, że pod taką niepewną jeździć musi opieką. Równocześnie rzuciła na Hellburga spojrzenie, jasno dowodzące: Cieszę się, że jeszcze żywiesz, panie korsarzu! Potem, by i Tomaszowi nie było smutno, kazała mu przysięgać, że on wobec niej nigdyby gwałtu podobnego nie uczynił, ani nie byłby takim tyranem, jako bywa starsza bracia.

Piotr od chwili już był przy Ondynie, na której ta scena największe może sprawiła wrażenie. Zmieniła się i stała się naraz słabą i wiotką, jak kwiat powiewem chłodnym przygięty. Gdy więc kielich wyszedł z rąk przeciwników, a przeszedł w ręce starego szlachcica i ojca Bonifacego, zaprojektował Tomasz, by przejechać się rzadziej uczęszczaną drogą konno, ku morzu.

Przyprawdzono konie, ale pojechały z sobą dwie tylko pary. Młody Sieniatycki wołał pozostać.

– Znajdę sobie – rzekł do Ondyny – inszy czas. lepszy. Nie będą mi już wtedy przelotni goście u waćpanny przeszkadzać.

Powiedział to ufnie, z pewnością siebie i wiarą. Od dłuższego już czasu starał ją sobie pozyskać. Teraz nie dał się na wycieczkę namówić i pozostał.

Dzień blednął. Kula słoneczna przeświecała w dali, ku ziemi się zbliżając, wśród drzew. Jechali aleją, w której zmierzch się ścielił. Otaczały ich dwie równe, leśne ściany. Podkowy koni uderzały o kamienie. Tomasz zwrócił się do Ondyny, która zwyczajem swoim jechała na koniu białym jak mleko i wiozła z sobą lutnię, z prośbą, by zagrała. Zebrali się w czwórkę jadąc dalej, ona brzękła po strunach, a on począł śpiewać:

„Kiedyś jest rycerz młody a śmiały,  
Ni się tatarskiej strwożysz nawały,  
Ani się śmierci choć w ciemnym borze  
Złękiesz niebożę.  
Lecz gorzej wtedy, gdy losy zmienne  
Dadzą dziewczynie serce krzemienne,  
A ty, choć tyle innych na świecie.  
Kochasz ją przecie.  
Gdy pierś twa grotem przeszyta pała,  
Choćby ci wszystko na świecie dała,  
Zawsze ci smutno i zawszeć bieda.  
Gdy serca nie da.”

Przyjechali nad brzeg. Było im wesoło i dobrze, bo nie mieli ze sobą nikogo zbytecznego. Starościanka swawoliła, a Tomasz, widząc powodzenie odśpiewanej pieśni, także więcej się rozweselił. Ondyna zdała się cała muzyką wieczoru, białym cieniem wśród zapadających mroków. Hellburg jechał za nią, w nią tylko wsłuchany i zapatrzony. Przyjechali na miejsce. Uwiązali konie i weszli na niewysoką skałę nad morzem, o którą rozbijały się szumiące fale i tam te dwie pary, zdala od siebie, usiedli.

Ondyna, obok której usiadł Piotr, wyciągnęła dłonie ku kłębiącemu Bałtykowi:

– Morze! matko moja! Mówiłam – rzekła do Piotra – że przyjdzie kiedyś chwila na wyjawienie tajemnicy moich urodzin! Cóż kiedy sama wiem o sobie tak niewiele. Jestem dzieckiem morza. Raz w październikowy wieczór wyrzuciło mnie na brzegi, kładąc spokojnie, spowitą w sieć tylko srebrną, kroplami jak perłami okrytą, córkę fali, Ondynę. Stąd moja dziwna nazwa, która przyszła do mnie i przyległa, jako że w dalekich krajach wodnice tak nazywają. Wychowano mię razem z Tomaszem, jak jego siostrę. Nie wiem o sobie nic, kto jestem, kto mnie urodził? Z obcych zapewne jestem ziem, a o sobie wiem tylko z przeczuć, których się czasem boję i lękam. Może rodzicami memi byli rybacy, może książęta. A może sama fala matką mi była, ta srebrna fala, która na brzeg wyrzuciła mnie spokojnie.

Kocham morze i kocham wszystko, co nieznanne. Wszakżesz tam ukrywa się przeszłość moja. Tęsknię czasem do jej rozwiązania, a niekiedy lękam się, by nie była zgubą moją.

Nie było owego wieczora żadnego śladu rozbicia się statku. Ani przy mnie nie było nic, prócz sieci srebrnej. Zdaje mi się, że z innego jestem świata i otwieram dopiero powoli oczy na wasz świat. Przyszłam tutaj z dziwnym pragnieniem zdobycia sobie czyjejś miłości, czasem jak błękit, czasem jak burza, trwałej, wiecznej i zarazem oddania się samej temu spędaniu się – na wieki.

Czuję w sobie zarazem jakieś przeznaczenie obce mi i niezwykle. Nie jestem tem, czym jestem, boję się sprzeniewierzyć sobie samej.

Wolną jestem. Teraz mogę jeszcze wybierać. Dążyć do wypełnienia przeczuć, pragnień i snów. A później... dusza moja jest jak biała moja szata... co się raz stanie... przepadło...

.....

Piotr w milczeniu słuchał jej słów. Poił się nimi jak wonią, jak muzyką. Morze śpiewało pieśń wieczorną, chmurną, jakby burza zdala nadchodząca. Wokoło szczyty skalne stały jak cienie. Jak rycerze na strażnicy. Ogarnęła go wielka tęsknota ku przestrzeniom i podziw, że świat staje mu się zawsze przy niej dziwny taki i fantastyczny. Pochylił się i złożył usta na jej złożonych, smukłych, wąskich i białych dłoniach.

A przez nią przeszedł jakby płomień. Zmieniła się i zadrżała. Zdawała oddawać mu się cała w tym rąk pocałunku. A później spojrzała nań z dziwnym, nieokreślonym uśmiechem, jakby z triumfem, że go zdobywa.

.....

Wracali. Po drodze dowiedziano się, że przyjeżdżał posłaniec z listem do Hellburga. Czekal na niego przed dworem. Korsarz odebrał list i wszedłszy do izby, odczytał przy świetle:

„Czekam na ciebie na wsi od tygodnia. Czy zapomniałeś, że cię miał odwiedzić? Rządzę za ciebie jak mogę, ale w piwnicy nie mogę trafić, które wino najlepsze. Umarwiam się jednak, sprowadziłem kilku księży i urządzam kontemplację.  
Wąsowicz”.

Hellburg stanął z listem zamyślony. W pierwszej chwili postanowił nie odpowiadać nań i – zostać. Wiedział przecież, że Wąsowicz umie sobie zająć czas, pomimo wzmianki o kontemplacji. Później pomyślał, że jednak droga niedaleka i wróci za niedziel kilka. Nie mógł tutaj pozostać, gdy tam na wsi czekał na niego gość i towarzysz broni. Postanowił wyjechać naza-jutrz, a tymczasem poszedł się gospodarzom tłumaczyć.

Nie chcieli go od siebie puścić, byliby woleli sprowadzić do siebie razem i pana Wąsowicza. Gdy jednak przełożył im, że tego czynić niepodobna, a sam obiecał powrócić, stary szlachcic kazał mu wyprowadzić konia, na którym jeździł, pełnego ognia rumaka z Hejazu, ustroić go w czaprak ze szkarłatnego deftyku i prosił, by na nim odjechał.

– Nie wiem, azali zastaniesz mnie jeszcze przy życiu, a gdy nie miałeś odemnie nic od dziecka, miejże teraz jaką pamiątkę. Dałbym ci może i co innego jeszcze chętnie z pod mego dachu, ale to już twoja wola, nie moja; czyń jak chcesz, a jak zechcesz, nie spytasz, tylko zabrać sobie potrafisz.

Nietylko jednak stary szlachcic żałował, że Piotr nie może pozostać dłużej. Gdy młody rycerz, pragnąc myśli swe uspokoić wyszedł do ogrodu, spotkał błakającą się wśród cieniów Ondynę z chartem białym. Podeszła ku niemu...

– Odjeżdżam – rzekł – ale powrócę.

– Będziemy czekać – odparła, – ale nie zawsze ci, na których czekamy, wracają...

Gwiazdy zabłyśły na niebie, kwiaty pachniały silnie; weszli do domu, nie mówiąc więcej nic, rozumiejac się bez słów, nie wymieniając nawet słowa o miłowaniu.

## V.

Pan Wąsowicz istotnie od tygodnia bawił na wsi u Hellburga. Przywiózł ze sobą skrzynię, zawierającą jego udział w zdobyczy, ponieważ jednak był krewkim i bynajmniej nie sensatem, poczęło mu się przykrzyć w starym dworze.

Dwór ten, a raczej zamek, pochodził jeszcze z czasów krzyżackich. Była to murowana budowla, szkarpami przyparta, o dachu ostrym, jednym piętrze i długim szeregu okien. Dziś była w większej części opuszczona, wieża waliła się w gruzy, a mieszkać można było zaledwie w kilku pokojach na piętrze i na dole. Dawne ślady murów rozsypały się w rumowisko, stąd nazwano miejscowość: „Kamienne”.

Majątność Hellburgów, większa w swoim czasie, ograniczała się teraz do wsi jednej, tak zresztą, jak przeważnie w owej porze cała własność szlachecka. Wyjątkowo zdarzały się wielkie fortuny Tęczyńskich, Górków, Kmitów, Zasławskich, Ostrogskich, Radziwiłłów, Ostrorogów... U Hellburga w pustym dworze zastał Wąsowicz tylko starą klucznicę i – poczęło mu się nudzić.

Najpierw postanowił gospodarzowi urządzać niespodziankę: otworzył skrzynię i przystroił puste pokoje makatami, wschodnimi materjami i bronią, przyczem znalazłszy starą zbroję, kazał ją wypchać słomą i ustawił jakby rycerza przy wejściu do pokojów. Na widok rozłożonych bogactw mieszkańcy dworu pozwolili mu już czynić co zechciał. Zabrał więc ze sobą psy myśliwskie, zwiedził las i nie napotkał nic szczególnego. Zwiedził następnie piwnicę gotycką, sklepioną jak refektarz, gdzie stało wino od lat nieruszane, wybrał najlepsze i osądził, że jest dobre. Następnie dowiedział się, że według podania w zamku mają być skarby zakopane pod lamusem.

„Urządę – pomyślał sobie – radość przyjacielowi, jak mu to całe bogactwo na wierzch wydestanę”. Ze zwykłą energią ludzi czynu sprowadził pomocników ze wsi i począł kopać. Ponieważ jednak na drodze spotkał ścianę lamusa, kazał więc rozebrać część muru, zaczęł się walić i dach budynku. Gdy więc niczego nie mógł się dokopać, sprzykrzyło mu się dzieło zniszczenia i zostawił budowlę na miejscu tak, jak ją rozwalił. Wtedy napisał do Hellburga, a sam rzucił się w fale nowych przyjemności.

Piotr tymczasem zbliżał się do granic swojej włości na darowanym cisawym arabczyku. Za nim jechał pacholek z tobołem na ognistym, choć mniejszej krwi murzynku. Choć drogę można było w jeden dzień odbyć, że wyjechał późno, musiał zanocować u szlachcica po drodze, a ten znowu puścił go dopiero ku południu. Dobrze więc już wieczór schodził, gdy ujrzał się na swojej ziemi.

Kołysały go do tej pory chwile pożegnania. Stary Wadzki wzruszył się bardzo, bo choć miłość rodzinna odezwała się w nim późno, ale podsycala ją myśl o zbliżającej się śmierci. Ondyna zagrała mu jeszcze raz przed odjazdem, a muzyka jej dźwięczała mu w uszach do tej pory. Tomasz rozstał się z nim dosyć roztargniony, bo całą myśl zaprzątniętą miał panną Sieniatycką, która jeszcze pozostała, a starościc niedwuznacznie czekał na jego wyjazd, kontent i wesół, że mu nie będzie już stawał na drodze do Ondyny.

Ninie jednak wiatr, który powiał od rodzinnych pól, śpiewał Piotrowi smętnem echem przeżytej młodości. Przypomniało mu się dzieciństwo, spędzone w smutku i samotności. Otaczające go ciemne; zamczyste pokoje, w których kazano mu przebywać. Zagładająca nieraz zielonemi gałęziami do okna wiosna, tam – o dwa kroki, tuż za progiem, a on trwożny w swoim pokoju na piętrze, gdyż między ojcem i matką wybuchły większe żale i spory. Coś tłoczącego i beznadziejnego padło mu teraz na duszę. Wspomnienia ukapały się w mgłę smutku, a myśli pobiegły szlakiem pól w dalekie otchłanie gasnącego słońca.

Nim zajechał do siebie, zboczył, by odwiedzić groby rodziców. Nie był tam od pół roku. Czuwano nad nimi. Otaczały je kwiaty świeże. Łzy młodości popłynęły mu po obliczu i spływały w ziemię. Uczuł się sam, bez nikogo. Miłość nie zdołała w nim jeszcze zniweczyć przewagi smutków. Ale zarazem siły, które w nim trwały, zbudziły go. Zawołały do życia, po sławę i czyn.

Gdy wrócił na drogę prowadzącą do dworu, zobaczył pachołka, który go czekał, gwarzącego z dwojgiem wieśniaków, na koniach, uzbrojonych od stóp do głów. Poznawszy pana, pokłonili się, lecz jego zdziwiła ta niespodzianka i począł pytać, co to znaczy?

– Jego Miłość pan Wąsowicz uzbroił nas w rusznice i kazał wszystkim gości, którzy będą jechać przez drogę, siłą prowadzić do zamku.

– A cóż on tam z nimi czyni?

– Częstuje ich, uczy na ich cześć wydaje, prosi Waszej Miłości.

– Niezwykle ja tam widocznie rzeczy zastanę – pomyślał sobie Hellburg, który znał już sposób zabawy Wąsowicza. Ruszył konia, lecz gdy ujechał kilkadziesiąt kroków dalej, stanął przed rozwalonym lamusem.

– Co się tu stało? – spytał się zbrojnych, którzy mu towarzyszyli.

– Jego Miłość pan Wąsowicz skarbów szukał, ale że dach się począł walić, więc zaprzestał poszukiwań.

Piotr doznał łatwo zrozumiałego niezadowolenia. Ale że z Wąsowiczem łączyły go zadzierżgnięte węzły przyjaźni, więc nie chciał mu tego dać poznać i starał się rozpozgodzić. Zajechał przed dwór i pachołowi rzucił lejce konia, którego ten dla ochłody oprowadziwszy, do stajni zawiódł.

Wieczór już zapadł zupełny. Na obszernym dziedzińcu przed dworem pusto było, natomiast z wielkiej sali na dole dochodziło światło, krzyki i muzyka. W tym domu, który pozostawił cichym i nigdy go sobie innym nie wyobrażał, odbywała się najwidoczniej pijatyka, a może orgia wieczorna. Chciała go już służba Wąsowiczowi oznajmić, ale on postanowił wejść niespodziewanie.

Nie przypuszczano też tam, by ktokolwiek bez zapowiedzenia o tej porze mógł przybyć, więc zabawa odbywała się swobodnie w całej pełni.

Otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza.

Na środku sali płonął świecznik, sownie dziś świecami jarzącymi przystrojony.

Około wielkiego stołu zasiadł pan Wąsowicz i pięciu szlachty braci, uwięzionych po drodze i przyprowadzonych pod groźbą pistoletu. Że jednak było to tylko dowodem gościnności, więc szlachta zmiękła łatwo, zwłaszcza, gdy dowiedziała się, jak znakomitego ma kompaniona.

P. Wąsowicz celował też w urządzeniu zabawy. W kącie na ławie muzykanci wędrowni, sprowadzeni z miasteczka, nietrzeźwi, rznąli „gonionego”. Była to okropna dysharmonia fałszywych instrumentów. Pan Wąsowicz w środku sali, przy pomocy reszty gości, zmuszał jedyne szlachcica, który nie był pijany do wychylenia kielicha, zawierającego kwartę starego wina.

– Zlitujcie się Waszmościowie! – błagał szlachcic. – Jadę na wesele córki. Jeżeli jutro rano nie zajadę, wszystko się opóźni. Klnę się na Boga, że powrócę. Tylko odprawię wesele, zaraz powrócę. Żal by mi było tak doborowego towarzystwa. Puście mnie na tydzień tylko. Wyobraźcie sobie, jaki tam zapanuje niepokój, gdy nie przybędę. Będą szukać na wszystkie strony, aż wreszcie znajdą mnie tutaj pijanego w kompanji.

– Zięć poczeka, córka poczeka – wołał pan Wąsowicz, a my nie poczekamy. Kto na miejscu, ten pierwszy. Pij waść, albo Waszmości uszy od butów podstrzelam. Takiś ty, byś gardził naszą kompanją i wstydził się, by cię w niej pijanym znaleźli?

– Zlitujcie się – jęczał szlachcic.



– Raz, dwa, trzy – odliczył pan Wąsowicz, poczem wycelował z króciicy i kula u stóp szlachcica oderwała drzazgę od podłogi.

Szlachcic skoczył jak oparzony, szybko wypił puchar i odrazu zwałił się, ku śmiechowi wszystkich, na podłogę.

Wtedy dopiero pan Wąsowicz dojrzał jakąś nową postać, milcząco w drzwiach stojącą.

– Gość! – krzyknął. – Daj nam go tu! Rzucił się ku niemu z resztą szlachty, ale w tej chwili rozpoznał przyjaciela i stanął zmieszany, nie wiedząc, jak zacząć.

– Piotrze! – krzyknął. – A ty którądy?! Nie spodziewałem się, że dzisiaj tu będziesz. Wpadł na niego, by go uściskać.

– A tobie jak? – spytał Hellburg.

– Jak widzisz. Radzę sobie jak mogę.

– Ranionyś? – spytał Piotr, pokazując jego głowę, nad czołem chustą obwiązaną.

– Et! zwykła zabawa pijacka. Czy ja wiem nawet od kogo mi się dostało?

– Jakże się tu gospodarzysz?

– Nienajgorzej! Jeszcze nie wiesz wszystkiego.

– Po drodze się przypatrzyłem...

Pan Wąsowicz zmieształ się:

– Piotrze – rzekł – daruj! Wszak i u nas na statku różnie bywało. Nazwoziłem ci różnego dobra. A zresztą... Albo się jest kaprem, albo się nie jest. Gniewać się nie ma za co...

– Ani też o tem myślę...

– Siądziesz z nami?

– Nigdzie się dzisiaj przecież indziej nie obrócę.

Na to Wąsowicz krzyknął do reszty gości, która stojąc jak mogła, przypatrywała się w półkolu:

– Gospodarz przyjechał! Powitajcie go, panowie bracia! Dawnośmy takiego między sobą nie mieli. Pozwól, że ci przedstawię. Pan Szrednicki, podczaszy wendeński, pan Wojna, chorąży ciechanowski, pan Ossowski, pan Bohusz... wybaczcie, że godności nie pamiętam. A tam pod stołem pan Szreniawita, starosta kaliniecki. A teraz – w górę gospodarza!

Uczynił się krzyk tak straszny, że szyby zadrżały. Posadzono Hellburga na pierwszym miejscu przy stole i poczęstowano dziczyzną świeżo upolowaną.

– Nudzę się mimo to – skarżył mu się pan Wąsowicz. – Same męskie towarzystwo, choć szlachta dobra, pije rada. Ale u ciebie włość dla mnie święta. Pocieszam się jak mogę. Powiedz jednak, czemuś tak długo nie przyjeżdżał?

– Wuj nie puszczał.

– Oho! już tam jakaś podwika była. Panowie! Na cześć podwiki gospodarza!

Zrobił się krzyk ponowny. Hellburg uczył się w tem towarzystwie dziwnie obco.

Pan Szreniawita tymczasem, wpół pijany, podniósł się z pod stołu.

– Puście Waszmościowie! – błagał. – Wesele córki. Powrócę, klnę się na niebo, że powrócę.

Na to Hellburg, odsuwając gniewnie krzesło i wstając, rzekł:

– Odjedziesz Waćpan, kiedy zechcesz. A wam, Waszmościowie – wesołej nocy!

– Nie zostajesz? – spytał zdziwiony pan Wąsowicz.

– Nie! – odparł. – Jestem zmęczony drogą.

Pozostawił ich pomieszanych i dotkniętych i sam poszedł do swego pokoju. Miał wrażenie niechęci, jakiej doznaje człowiek trzeźwy w towarzystwie, w którym wszyscy mają w głowie. Miał uczucie wogóle pogardy do życia i urazy do nich, że nie wiedząc o tem, dotknęli w jego duszy białej postaci Ondyny.

W pokoju było ciemno. Nie był pewny, czy nie zastanie tam znowu jakiegoś śpiącego gościa. Lecz nie! Posłanie czekało na niego przygotowane i nietknięte. Posuwał się wzdłuż

ścian ku oknu. W ciemności potrafił coś. I oto dobiegł go brzęk kilku strun dotkniętych, cichy, a taki inny od tych, które dochodziły go tu jeszcze z sali.

Była to lutnia, zawieszona na ścianie, na której dawniej grywał. Ale w tej chwili nie zdał sobie sprawy, że ją poruszył. Zdawało mu się, że to koło niego przeleciały skrzydła jakiejś i uderzyły milczący instrument.

Nie rozbierał się, ale usiadł na łóżku i zagłębił się w myślach... Odjechał od niej, nie zamieniwszy gorętszego słowa, bez zaciągnięcia żadnego zobowiązania i bez żadnej pewności, że go oczekiwać będzie. A zarazem czuł, że ona jest jedyną, za którą może tęsknić, jedyną, którą ma na świecie.

Czy jest jej wart? Wspomnienie tej uczty, na której był przed chwilą, zdawało mu się rzucać na duszę jego pył. Poczęły mu przychodzić podobne wspomnienia z przeszłości. Warte są jej jego sny o sławie, chęć czynu, dusza, która ku górze królewsko ulata, ale czy warte są wszystkie jego zwątpienia, chwili, gdy dusza słania mu się jakby bezwolna i rozpaczy pełna powłóczy skrzydłami po ziemi?

A przytem, czy on ją naprawdę kocha? Czy potrafiłby zapomnieć przy niej o wszystkich smutkach, które go męczą, o tych przejściach, w czasie których dusza woła o śmierć, o mękę, o skon?

Innym wolno zbliżać się do niej takimi, jakimi są, ale on chciałby jej dać szczęście całe, siebie całego, wiedzieć, że nigdy nie stanie się przyczyną jej łez i skargi.

On tak nienawidził łez. Tak dużo ich widział od dzieciństwa. Wolał już od nich tę ucztę nawet, na której był, wolał krew, którą widział przelewaną obok siebie, tak pragnął światła, szczęścia, błękitu...

A czy ona da mu to wszystko? Ona, napozór tak chłodna i taka biała? Czy potrafi rozżarzyć tak dwa serca, by były jak jeden ogień zjednoczeniem się wspólnem płonący?

Co czeka ją i jego? Stała mu przed oczami cała męka zapytań. Cały obłok myśli, jak postaci skrzydlatych, które przychodziły mu zakrywać srebrny, czysty strumień tęsknoty.

Otworzył okno i patrzył na daleki krajobraz jesienny, bezksiężycową, gwiazdzistą nocą rozsrebrzony. Dusza uleciała mu w zadumie od ciała i poleciała tam, gdzie ukochaną swoją, jak biały cień, przedwczorajszą nocą zostawił.

Wtedy posłyszał dobijanie się do drzwi, hałas po schodach, ochryple pijackie głosy i słowa Wąsowicza:

– Otwórz, przyjacielu, otwórz!

Otworzył drzwi i ujrzał przed sobą całe towarzystwo z sali, które chciało wejść do niego, ale, że stanął na progu, przystało pod drzwiami i na schodach z kapelą.

– Nie leżysz jeszcze? – dziwił się Wąsowicz. – Zrobiło się nam za tobą żal, że ci smutno. Przyszliśmy więc cię rozweselić.

Równocześnie rozległy się okrzyki:

„Gospodarzu nasz!  
Pokaże nam twarz.  
W łóżkuś trzeźwy, wstań pijany,  
Wróc w przyjaciół krąg zebrany...  
Gospodarzu nasz,  
Oto kielich masz!”

Ale młody szlachcic zamknął im przed nosem drzwi i głosem, w którym brzmiała tajona wściekłość, zawołał:

– Precz! Pijaki!

Za drzwiami począł się szybki odwrót, po chwili jednak słychać znowu było pojedyncze, stapanie po schodach i zabrzmiał głos pana Wąsowicza:

– Przyjacielu! skrzywdziłeś nas. Przyszliśmy, do ciebie, bośmy myśleli, że możesz być spragniony, a ty wymyślasz nam od pijaków. Wszakże to wszystko bracia szlachta, dobrze, że sobie, nim wytrzeźwią, zapomną. Prawda to, że zwałem ci lamus, prawda to, że trzymam u ciebie bez twej woli gości, ale też nazwoziłem ci dobra wszelakiego. Nie klnij mnie, przyjacielu, nie klnij, bo sobie gardło poderżnę.

Tu głos pana Wąsowicza załkał straszliwie, poczem słychać było, jak schodził omijając stopnie, po schodach.

Hellburg począł się śmiać pomimo gniewu, a potem, gdy już wszelkie hałasy ucichły, wziął gitarę i grał na niej cicho, przy otwartym oknie, do późnej nocy.

## VI.

Goście zaproszeni przez Wąsowicza nie rozjechali się tak prędko. Jeden tylko starosta kaliniecki wymknął się w nocy, kazał zaprząć skarbniczek i, nie napotykając już oporu, wyjechał na wesele córki, które tylko dzięki przybyciu Hellburga nie uległo opóźnieniu. Inni natomiast, o godnościach dość niejasnych, a nazwiskach dość niepewnych, nie skorzystali z pozostawionej sobie wolności i spodziewali się ucztować dalej. Nie godziło się już teraz gwałtem pozbywać ich, gdy im się poprzednio dla zatrzymania koła od kolasek pozdejmoowało. Oni tymczasem chodzili po dziedzińcu, łapali kury, strzelali zwierzynę w lesie i schodzili sami po butle do piwnicy. Wreszcie Wąsowicz, widząc niechęć do nich gospodarza, począł mało z nimi przestawać i odmawiał w ucztach swego udziału. Poznali się zatem na sytuacji i w jeden dzień ku południu wysypały się na dziedzińiec ich skarbniczki, kolaski i tarantasy, a właściciele przyszli żegnać się z gospodarzem. Poczem, obdarowani tak przez Wąsowicza jak i Hellburga, rozjechali się na cztery strony świata.

We dworze zaległa cisza, z której skorzystał Piotr, by przegłądnąć nieruszone papiery swego ojca. Pewnego razu wpadła mu w ręce kasetka mała, kunsztownie zamknięta i przez matkę jego jeszcze pieczęcią herbową zabezpieczona. Były tam listy, które, nie chcąc badać tajemnic, odłożył na bok, z podpisów jednak i pieczęci zauważył, że były pisane przez znakomitych dyssydentów. Najbardziej jednak zadziwił go foljał wielki, drobnym pismem zapisany, pod tytułem: „O naprawie Rzeczypospolitej”. Był to pisany żywo, przeniknięty myślą obywatelską, obfitujący w opisy i porównania, owoc samotnych myśli jego ojca.

„Nie masz państwa – pisał stary Hellburg, – któreby przedstawiało się na zewnątrz światu, jako nasza Rzeczpospolita Polska. Niedawne to czasy, gdy królowie z dynastji Jagiellonów zasiadali na trzech tronach i łączyli w rodzinie trzy korony. Ktokolwiek obcy byłby u nas przejazdem, zdumiewałby się na widok naszego bogactwa, szlachty naszej rycerskiej i dworu króla jegomości w Krakowie, któremu równego jeno chyba w dalekich Włoszech szukać przyjdzie. Byłem tam niegdyś i oglądałem tę budowlę o filarach kamiennych, cudną oku, wieżycami nad srebrną Wisłą górującą, a zasię kaplicę całą złotą z karpiej łuski przysłoniętą, a wewnątrz jako koronka w marmurze wyrzeźbioną. A cóż dopiero, gdym tam ujrzał całe wypełniające zamek tłumy, owe pany jasne w drogich futrach i aksamicie, biskupów w złocie i srebrze, rycerzów o złotych pasach i ostrogach, dziewczęta i niewiasty przekraśne, jak kwiaty żywe po krążgankach chodzące. Zobaczyłem też miłościwego naszego pana Zygmunta, który na mnie chwilę życzliwym okiem spojrzeć i przywitać mnie raczył.

Król ten chodzi schodami, które zwane są królewskie, a senatorowie innemi, które zwane są poselskie.

I zaraz pomyślałem sobie: to pierwszy błąd tej świetnej i bogatej Rzeczypospolitej, że król i szlachta innemi drogami chodzą.

I nie króla wina to, pana miłościwego.

Za niego to Rzeczpospolita tak zakwitła, że wiek nasz słusznie wiekiem złotym nazywają. Pobito rycerstwo nasze pod Sokalem, ale zasię pod Obertynem świetne odniosło zwycięstwo; kiedy jednak w roku 1537 na Wołoszę zebrało się rycerstwa sto pięćdziesiąt tysięcy, cóż się stało?

Oto poczęła się swarzyć ze sobą szlachta i wielmoża, a jedni i drudzy na pana wytaczać skargi.

Królowa nasza, która jest z włoskiego rodu, poswarzyła panów zacnych, a zasię stan rycerski, którego wielmoże poniżyć chcieli, godności swojej broniąc, mało ich szabłami nie rozniósł.

Nie ucierpiała Wołosza, ale ucierpiał kraj i kokosze, bo się wszyscy, kury w okolicy wyjadłszy, jako się byli zjechali, rozeszli.

Takie skutki są, gdy wszyscy innemi drogami i do innego celu chodzą. Jedności nam trzeba, zgody szlachty z królem, wspólnego celu, dobra pospolitego”.

Znajdował się tam dalej ustęp o młodym królewiczu, w którym Piotr musiał podziwiać bystrość przepowiedni ojca.

„Podnoszono skargi na królową Bonę i słusznie, że urzędy sprzedaje, pieniądze tai, a jedynego syna swego, zamiast do wojny przyuczać, w pierzynach i puchach wśród niewiast chowa. Ale mówię wam, nie lękajcie się, bo nie zmienicie orłęcia, chociaż mu gniazdo puchem zaścielicie. Zaczyna być krew Jagiellonów. Co złe natomiast usunąć można, ale jakoż radzić, gdy wszyscy naraz krzyczą? Nie dziw, że król miłościw w latach swoich nic zdziałać nie może, skoro nietylko pomocy nie spotyka, ale owszem, gdy chce co czynić, wszyscy mu naraz na opak stają”.

Znalazły się tam także uwagi „de poena homicidii”, rozwinięte już od tej pory w pięknej książce pana, Modrzewskiego. Były spostrzeżenia o braku twierdz, wojska najemnego, o niedostatecznej obronie granic od najazdu Tatarów, stąd o wielkiem uciemieniu ludu zabranego w niewolę. Była wzmianka o słabości władzy królewskiej, której się nie popiera, a za wszystko czyni ją odpowiedzialną. O niewoli kmieci i o pogardzie dla stanu mieszczańskiego. Były szczegółowe opisy zbytku, które zmieniły życie, dawniej pełne rycerskiej siły i prostoty. O ucztach przydługich, cały dzień trwających. „Nieraz się i odmówienie kielicha za ujmę ma i szabla za nie grozi”.

Tak też rozprawę swoją, do połowy tylko doprowadzoną, kończył:

„Wszystkie wady usunąć się dadzą i króla wzmocnić i kmieciowi ulżyć i żołnierzy wystawić, ale zniewieściałości nie usuniesz tak prędko. Dbajcie o młodzież, by miała wolę silną, a serce w trudnościach nieulekłe. Bo dziś, jako mówiłem to o królewiczu, orłęciu nawet puchy nie zaszkodzą. Jeszcze synowie nasi to orłęta! Jeszcze choć źle uczynią, jako Herburt pod Sokalem, dla sławy rycerskiej na śmierć pójdą i głową zuchwałą nałożą. Ale może przyjdzie czas, gdy za broń chwycić im będzie niełatwo, gdy przeciw wrogowi nie pociągną, bo wzajem klócić się będą, albo we własnej wsi będą woleli żyto zbierać. A wówczas biada! biada naszej Rzeczypospolitej!”

Opisywał tam także stary Hellburg, jak przystąpił do wyznania reformowanego. Była to spowiedź człowieka smutnego i pod koniec wahającego się. Wspominał, jak już dawniej, w Wirtembergu słyszał obcych ministrów, ale przecież nie lgnął do nich sercem, bo to, co mówili, obcem mu się i z tradycją niezgodnym wydawało. Uczuwał natomiast w sobie potrzebę czynu, rozpoczęcia naprawy polskiej społeczności. W kilka lat potem spotkał możnych panów, którzy radzili naprawę tę rozpocząć od duchowieństwa. Począł na ich zebrania uczęszczać i postęпки duchownych krytycznym okiem badać. Zastanawiał się później nad tem, czyli dobrze uczynił, jak zobaczył, że wszyscy go opuszczają. Wróciłby chętnie do dawnej wiary, w której przodkowie żyli i ginęli. Chciałby i swego proboszcza mieć i z przyjaciółmi być blisko, ale pomyślał sobie, że wolę trzeba okazać i nie ustępować, skoro raz namyśliwszy się, postanowił. Ostatnie lata życia zeszyły mu smutnie, w samotności i zniechęceniu, a on przecież nikomu w życiu nic złego nie uczynił. Pomyślał sobie jednak: Nie ustąpię!...

Wyczytał Piotr z książki tej duszę ojca i dowiedział się o wielu jego chwilach troski, której się nikt nie domyślał. Przypomniawszy sobie jego samotną postać, kryjącego się w pokoju, od żony swojej zdala, do dziecka czasem tylko, by mu głowę pogłaskać, przychodzącego. I na duszę upadł mu smutek ciężki, jaki zresztą ogarniał go tu często od powrotu.

W pewien dzień pan Wąsowicz, który teraz oddalał się często, przyszedł do niego i spytał, czyby nie odwiedził sąsiadki, samotnie mieszkającej wdowy, Podlaskiej.

– Jakże? – zdziwił się Hellburg. – Nie znam jej i nie widziałem jej nigdy.

– Czyliż myślisz, że ja u ciebie siedząc, nie wychodzę po za próg domu, albo z tobą tylko polować do kniei – odparł pan Wąsowicz. – Poczynilem już odwiedziny w całe sąsiedztwo. Rychło tu całemi gromadami goście zjeżdżać będą.

– Jakaż to wdowa? Zapewne w ciemnym kwefie, oczami ku niebu przewraca, a książkę z godzinkami trzyma w ręku?

– Właśnie bym do takiej jechał! Młoda wdowa i wesola, dwór piękny, w ogrodzie rozrywki i zabawy różne, koncepty prawi, wino ma, czas schodzi jakby z bicza strzełił.

Piotr pomyślał, że trzeba spróbować trochę żyć, rozweselić się, a zwłaszcza uczynić coś dla przyjaciela. Odparł też:

– Pojadę.

Pojechali więc. Dosiedli rumaków i za dwie godziny byli u owej pani. Zobaczyli dwór drewniany, ale piętrowy, galeryjką zdobny. Na dachu umocowane szklane kule i powietrzniki kręcące się dokoła. W pobliżu domu gołębnik stał, a pani koło niego karmiła gołębie.

Wyskoczyli z wozu i pan Wąsowicz przedstawił przyjaciela. Pani we włoskiej była sukni, choć na swój ogród, lecz w berecie. Szyję miała odkrytą, ledwie na nią zachodziło gieźleczo koronkowe. Było to swawolą wielką na ów czas i dowodem wielkiej zalotności niewieściej.

Klasnęła w dłonie, widząc gości, aż się gołębie ze strachem rozpierzchły. Zdawała się więcej cieszyć żołnierską postacią Wąsowicza z wąsem sutym, czupryną podgoloną, ale spojrzała także życzliwie na Hellburga.

On jednak nie patrzył na nią. Jemu ten dwór przypominał drewniany dom inny, również ogrodem otoczony, w chłodniki przyozdobiony, a w nim białą postać księżniczki z za morza, z chartem białym przy sukni, może czekającą.

Uklonił się pięknie i czapą prawie po ziemi posunął. Ale ona nie zajmowała go ani nie ciągała go ku sobie. Zrozumiał, że wszystkie tęsknoty swe zostawił – przy tamtej.

Pani zaprosiła ich, by w kręgle grali, sama grała i parskała śmiechem, co chwila trącając ich to łokciem, to ramieniem. Wąsowicz bawił się doskonale. Śmiał się jak młody chłopak, lewe oko przymykał, gonił jak pacholę trzynastoletnie. I Piotr dał się unieść zabawie. Rozweselił się, poczęła w nim tętnić krew. Hej! byłby on może dawniej dla jakiego wesela i w ogień wskoczył.

– Miło to patrzeć – mówił Wąsowicz, – jak waszmość pani rozweseliła mego Piotra. Sen-sat jest i w foljałach siedzi, albo zasię gra na lutni, że słuchać przykro. Przywiozłem go tu w nadziei, że przecieć otrząśnie się ze swoich smutków. I nie zawiodłem się.

– Otrząśnie się – odparła z pewnością młoda pani – i cieszę się, że taki na niego wpływ wywarła. Ale teraz – zgoniliśmy się – więc mości panowie, proszę do stołu!

Wzięła ich pod ramię i zaprowadziła do chłodnika. Przyniesiono alakant i małmazję. Pani lubiła snąć wina zamorskie. Pili wszyscy z jednego kielicha. Wąsowicz stroszył wąsy i opowiadał trefne żarty, a młoda pani śmiała się i bawiła z psami, które wybiegły z domu i skakały jej po chleb do ręki.

Ale u Piotra wesoły nastrój już prysnął. Żarty raziły. Z niechęcią patrzył na świecące się coraz bardziej oczy młodej pani i swego towarzysza.

Ujrawszy też, że nie bierze udziału w zabawie, rychło go zaniebano. Lało się wino obficie do kielicha, a pani powoli, psy porzuciwszy, wsparła się dłonią na ramieniu pana Wąsowicza, ręką drugą pod bok podparła i śmiała się a weseliła.

Wstali wreszcie. Piotr odstąpił ich, by patrzeć co uczynią i zobaczył, jak zmierzali nieznacznie ku dworowi.

Wtedy, ponieważ i sam miał nieco w głowie, porwał go urywany, zółciowy śmiech, w którym wylewało się całe jego niezadowolenie i ironia...

Ruszył w stronę pól i znalazł kopę siana, jeszcze nie zwiezionego. Położył się na niem i spoglądał na niebo i na chmury. Posyłał ku tej swojej, własnej, tej, którą kochał, skargę swojej duszy. Równocześnie czuł, jak łamią mu się energii skrzydła, a na ich miejsce wstępuje znużenie i chęć snu.

Czemu? – nie wiedział. Może być, że nastrajała go tak tylko natura w jesieni swojej już gasnąca. Po niebie płynęły obłoki ołowiane, chłodne, prawie śniegowe.

– Zima idzie – szeptał do siebie, patrząc na nie.

Trwał tak w stanie półświadomości długo, gdy posłyszał swoje nazwisko. Pan Wąsowicz i pani domu pytali za nim.

– Gdzieżeś waszmość zniknął? – rzekła młoda wdowa. – Szukaliśmy wszędzie.

– Odjeżdżamy: Noc się zbliża – dodał pan Wąsowicz.

Pan Wąsowicz węża zakręcał, wesół był, a wargi miał czerwone. Pani skromnie spuszczała oczy i mówiła do Piotra poważnie:

– Miło mi było poznać waszmość pana i zawsze rada go witać będę. Mam nadzieję, że z czasem zapoznamy się bliżej. Proszę pamiętać, że gdyby rozweselenia potrzebował, to bez skrupułu proszę mię nawiedzać.

Ucałowali wdówki ręce, na wóz wsiedli, odjechali, Pan Wąsowicz wzdychał i milczał po drodze.

– Gdyby tu się dało – rzekł wreszcie – jakowąś majątność w okolicy nabyć, tobym może nawet swego korsarstwa zaniechał.

– Młoda wdówka i bogata, – rzekł Piotr – ożeń się!

Ale pan Wąsowicz pokręcił głową:

– Za ludzka ona i za życzliwa. Byłoby urwanie głowy z gośćcami.

Nie mówili już przez drogę nic więcej do siebie, bo każdy miał inny przedmiot do myśli.

Minęło potem zaledwie kilka dni, a pan Wąsowicz żegnał „Kamienne”. Żał mu było Hellburga, bo mówił – jak rdza zjada go smutek, ale chciał znowu dojrzeć swego „Centhaurusa”. Statek stał koło Gdańska, a choć miał oficerów, należało się strzec, bo przyjaźń gdańszczan wcale pewną nie było. Na odjeździe spytał Piotra, czy pojedzie z nim na przyszlą wiosnę, by odbyć nową wyprawę, a on któremu żał było nieco dawnego życia, odparł:

– Kto wie! – może pojedzie.

Rozumiał dobrze, coby to znaczyło, że musiałyby zerwać wiążące go węzły, a możliwość szczęścia rzucić na zawsze. Ale teraz nie śmiał do niej jechać, lękał się wogóle ludzi i raz tylko uczucie dawne poruszyło się w nim żywo znowu, gdy przyjechał do niego posłaniec od Wadzkich.

Przywiózł mu wieści, że stary pan chory i umrze może lada dzień.

– Kto cię przysłał? – spytał go Piotr.

– Dziedziczka – odparł posłaniec.

Chciał spytać go o nią, co czyni, jak się miewa i słowa te nie wyszły mu na usta. Wiedział, że niepokojono się, że zapraszano go tak do przyjazdu. Spodziewano się kilku słów, że pamięta, że przybędzie. A on milcząc obdarował pachoła, odprawił go i począł biedzić się ze swoją własną niedolą, sam jej przemóc nie mogąc.

I nie pojechał. A równocześnie, dziwnymi drogami duszy, tęsknił i łamał się po szczęściu straconem. I byłby może wreszcie siadł na koń i wybrał się do niej w drogę, gdyby nie to, że nagle zachorował. Musiała nurtować w nim jakaś choroba, na której lekarze poznać się nie mogli, bo raz, ku przerażeniu sług, zwałił się na ziemię i zaniesiony na posłanie, pozostał na niem przez kilka miesięcy.

## VII.

Tajało... Marcowe, ciepłe słońce odkrywało otuloną w śniegi ziemię. Spojrzała znowu ku niebu gleba czarna, potoki żłobiły sobie brzozy w grubych poręczach lodu, drzewa stały ogołoczone i bezlistne, ale przecież zdawały się czekać już na zbliżające się dni radości.

Zimowe czarne ptactwo odzywało się głośno, lecz krakanie jego nie wydawało się już takim groźnym i beznadziejnym, jakim bywało w szare ranki lub zachody, wśród bezmiernych, umarłych przestrzeni.

Wiatr rozpędzał chmury i wygładnęły błękity. Złotość słońca nadawała światu koloryt ciepły i żywy i wróżyła powrót wiosny.

Piotr jechał do Rzęsnej zdrów już, wesół i pełen nadziei. Szubę wdział na siebie, na pierśiach z przyczyny ciepła odsłoniętą, popielatą futrem podbitą i niem na kołnierzu i rękawach wyłożoną. Czapkę miał litewską, z wywiniętymi do góry futrzanymi uszami. Z pod szuby wychylały się nogi okryte w skórnicy i uzbrojone w ostrogi.

Koń pod nim był cisawo-jabłkowy, ten sam, którego za poprzednim swoim pobylem dostał od starego Wadzkiego. Za nim jechał, jak zwykle, po żołniersku, pachół z tobołem.

Jeździli inni z całymi wozami, które wypełniali różnymi wygodami i żywnościami, ale Piotr wiedział, że żołnierza byle kto przyjmie, a nie lubił wiele wozów z sobą.

Nie spodziewał się już zastać wuja swego przy życiu. Ale po długiej chorobie, która położyła go kiedyś pokotem, uczuł w sobie wracające z wiosną wszystkie dawne tęsknoty, pragnienie radości życia i miłości Ondyny. Spodziewał się zastać Tomasza w domu i wierzył, że ona go czeka. Gzemużby bowiem nie? Czyż tych kilka miesięcy to czas tak długi? Roił sobie już podróże z nią dalekie, kto wie? – może wyprawę na „Cenaurusie”, a może pojedą wspólnie do Danji, i dalej, oglądać fiordy norweskie na dalekiej Północy. Wyobrażał sobie, jak słuchać będzie jej muzyki i słów, co jak wdzięczne struny brzęczą. Myślał o niej, jak zabierze ją z pośród pól, na białym koniu, z chartem białym, – księżniczkę ziem lodowych, na szczęście, do siebie!

Zanocował, jak poprzednio, u znajomego już szlachcica po drodze, który zadziwił się jego zeszczipniętej przez chorobę twarzy i oczu płonących, ostatnich śladów choroby. Ale on czuł się mimo to zdrów i silny. Szlachcic, który raz go widział zaledwie, poczuł do niego życzliwość, wypytywał się o zdrowie i zdawał się domyślać celu, z jakim gdzieś w świat jechał. Dlatego też, kiedy go zegnał nazajutrz, rzucił za nim ciepłe życzenie:

– Szczęśliwej drogi!

Piotr zaś, kiedy był blisko i od Rzęsnej dzieliło go tylko kilka mil, nie mógł się powstrzymać, popędził konia i zostawił za sobą pachola, który próbował bezowocnie za nim nadążyć.

Przyjechał zatem sam. Biło mu serce z niepokoju, czy nie zastanie zmian zbyt wielkich. Nie wiedział o kogo pytać. Kto jeszcze jest, a kogo już nie będzie? Na pierwszy jednak rzut oka poznał, że wszystko jest inaczej. Nie było ruchu, nie było pieśni, dwór zdawał się zastygać w milczeniu. Brakło śnać starego szlachcica. Domostwo, tak wesołe jesienią, smutne było w śniegu topniejącym. Ale przecież byli jacyś ludzie, bo z domu wybiegła służba potrzymać mu konia. Poznano go i obiecano poprosić dziedziczkę.

Więc ona jest. Gdzie Tomasz? Nic o nim nie wspomniano. Wszystko wydało mu się zagadką. Chłodny, bolesny powiew powiał mu na duszę pełną pragnienia. Nie chciał o niczem myśleć, milczał i czekał.

Nie przychodziła długo. Czekał na nią w dawnej sali jadalnej. Wreszcie otworzyły się drzwi i stanęła w nich, patrząc na niego długo, błada i biała.



Usiedli. Zaczęli rozmowę od zapytań. Okazało się, że stary Wadzki umarł w trzy dni po wysłaniu przez nią wiadomości o jego chorobie do Hellburga. Tomasz żeni się z panią Sieniatycką. Ślub jednak nie będzie prędko. Gdy dawny swój dwór Wadzki jej zapisał, Tomasz otrzymał przyległą majątność, a świeżo teraz sukcesję na Podolu. Pojechał objąć ją i jakiemu zaufanemu szlachcicowi sprzedać lub na czynsz puścić. Nie spodziewała się go prędko. Może wrócić i za pół roku.

Zauważyła bladość na jego twarzy i zrozumiała, że ma do niej jakieś zapytanie, które jednak przywarło mu na ustach. Spytała go zatem sama:

– A waszmość czemu dotąd nie przyjechał? Opowiedział jej o chorobie, jaką przeszedł. Musiała się na długo przedtem w nim wzmagać. Jak wyjechawszy stąd, nie mógł zapomnieć. Jak przyjechał naprawić obecnie wszystko, czego przyczyną stało się jego zaniedbanie, chęć ofiarowania jej duszy jak łza czystej i spodziewa się, że go tu pamiętają, tak jak on pamięta.

Ona nie oddalała go, ale spoglądała na twarz jego w milczeniu. Potem rzekła:

– A teraz poproszę waszmości, jako zaufanego, by darował mi, że obiad każę mu podać w izbie, u niego. Mam jednak gościa, który u mnie codziennie jada, a który nie byłby rad widzieć kogo innego. Gorącym więc mojem życzeniem jest, by o bytności waszmości tutaj nikt nie wiedział.

Wtedy on chwycił nagłym porywem jej dłonie i spytał gwałtownie:

– Kto do waćpanny przyjeżdża?

Ale ona wyrwała mu ręce i spojrzała mu w oczy.

– Kto?... waszmość o to pyta? Starościc.

A później dodała:

– W czasach, gdy zostałam opuszczona, zaczął przyjeżdżać do mnie często, bardzo często. Ma nadzieję widocznie, że połączą nas zrękowiny. Powiedział, że musi mnie mieć, choćby mu przyszło rapt popełnić. Istotnie! nie jestem tu mimo służby bezpieczną. Ale na razie nie ma do tego powodu. On wierzy, że zgodziłam się milcząc należeć do niego, choć wie, że dawniej odstręczałam go niechęcią i daje mi to do zrozumienia, a ja – nie przeczę.

Zrozumiesz więc waszmość – mówiła jeszcze, – że zależy mi, by w domu tym gwałtu nie było i wszystko odbywało się jak najspokojniej. Waszmość opowie mi znowu później to, co wie, ale ninie proszę, żebyś się nie pokazywał. Zrobię to wyjątkowo dziś dla naszej dawnej przyjaźni, że pod jakimkolwiek pozorem odprawię starościca zaraz po obiedzie.

Zaprowadziła go i ukazała mu stół na dwoje nakryty. Potem kazała dla niego nakryć w pokoju, w którym mieszkał niegdyś, od strony ogrodu.

– Gdybyś się waszmość znudził, proszę wyjść; będę się starać, by mój gość nie przechodził tędy. Mam nadzieję, że nie będę go dzisiaj u siebie trzymała długo.

Na moście zadzwoniła kolaska.

– Otóż i on – powiedziała.

Odeszła. Piotr pozostał sam z całą burzą myśli i zazdrości. Ujrzał nagle, jak szczęście poczęło mu się wymykać z rąk. Miłość jego wzrosła w wymarzeniu i tęsknocie, szalał więc teraz pragnieniem odebrania jej, jakkolwiek, przez rozbudzenie w niej pamięci, choćby przez rapt, przez zabicie tamtego. Zostawiono go tutaj myślom, które wszystkie wołały: Czemuś wówczas nie przyjechał? Wtedy jeszcze twoją była. Czyliś tego we wzroku jej nie czytał? – Chwytała go zawiść, że tamten siedzi teraz blisko niej, dotyka się może czasem szat, patrzy na nią jak na swoją, a wszakże ona jego jest – Hellburga. Wymarzył ją sobie w snach i miłością przystroił, jak koronę. Miłością najszczytniejszą, najpełniejszą nieba. Wszakże przybył tutaj życie całe rzucić jej do stóp.

Zrywało go, by wybiec ku tamtemu. Oderwać go od niej, wyzwać na pałasze, ale nie uczynił tego, okazał się posłusznym, bo ona tak zechciała. Była w niej siła, której się lękał, lękał się, bo wiedział, że ona wtedy może mu powiedzieć, że już niema wyboru, że ona wybrała – tamtego!

Siedział więc, milcząc, przy oknie, a służba przynosiła mu i odnosiła potrawy, nie rozumiejąc, co mu jest, dlaczego na nie nawet nie patrzy.

Minął tak dłuższy czas, kiedy Ondyna przysłała do niego na chwilę. Przepraszała, że musi na nią czekać i odeszła. Minęła potem znowu może godzina, a może dwie, gdy znowu zobaczył ją przed sobą. Stała przed nim w sukni białej i rzekła:

– Starościc odjechał. Miałam niemało kłopotu, by mu to wytłumaczyć, że dłużej dzisiaj być nie może. A teraz możemy iść z waszmością.

Wdziąka szubkę futrem białych lisów podbitą. Spytał, czy nie mogą odbyć wspólnie wycieczki ku morzu? Zgodziła się. Wyjechali. Opowiedziała wówczas, jak powstał jej stosunek ze starościcem. Po śmierci ojca czekała jeszcze przez czas pewien przyjazdu Piotra. Czekala go całym upragnieniem, całą wiarą, że przybędzie. Schodziły jej jeden za drugim dnię szare, jesienne, łkające wiatrem i tęsknotą, aż w końcu zrozumiała, że wszystko stracone.

– Dziś mogę to powiedzieć Waszmości. Począł przyjeżdżać do nas pan Sieniatycki. Lękałam się go, ale nigdzie nie miałam oparcia i obrony. Tomasz nie mógł mnie bronić, bo z siostrą jego odbył zrękowiny, a zresztą sam nie wierzył w miłość do mnie Waćpana. „Gdyby cię kochał, toby był przyjechał”. Chciałam pisać sama do Waszmości. Ale bałam się trafić na niechętnych. Na pierwszą wiadomość, którą posłałam, nie dostałam wszakże żadnej odpowiedzi. Trwożna uciekałam przed tamtym, bo ogarniał mnie lęk już nie o siebie, ale o duszę. O tę zagadkową duszę, której często sama w sobie nie rozumiem. Ustąpiłam mu, gdyż mi okazał wolę silną. Dziś już tak jest, jakbym jego miała być na zawsze... A zresztą. Wszak okazał mi tyle miłości.

Słuchał jej. Same słowa jej już kołysły go i pieściły jak muzyka. Zdawało mu się, że znowu oddycha piersią pełną, a przecież nie dowiedział się nic pocieszającego.

Jechali we dwoje ku skałom na morskiem wybrzeżu.

W lesie sosnowym ostatnie okiście śniegu wisały na gałęziach jeszcze, ciekąc perlami. Dzień dłuższy był już, więc o tej porze jasny, lecz skłaniał się ku zachodowi.

Nagle Piotra wstrząsnął straszny lęk:

– Żali Waćpanna była już u niego?

A ona odparła dumnie:

– Nawet ręce moje nie były jeszcze przy niczyich ustach prócz Waszmości!

Opowiadał jej dalej, jak jej pragnie. Przypomniwał jej te dnię, które tutaj spędzili razem, dzień po dniu, chwila po chwili. Że pragnie jej dzisiaj jak życia, jak słońca, że powinna darować i wybaczyć.

Ale oczy jej odpowiadały mu:

– Zapóźno! zapóźno!

Przybyli nad morze i ujrzeni ową skałę, na której pół roku temu siedzieli wszyscy razem, on z nią, Tomasz ze starościanką, we czworo. Morze kłębiło się czarne i burzliwe. Zmieniło się wszystko, nawet krajobraz dokoła. A jednak do Piotra zdawały się wracać wszystkie ostatnie dźwięki melodji, gdy więc uwiązawszy konie, przyszli na miejsce, uklękł przy towarzyszce i głowę położył w jej dłonie.

Ona spoglądała na niego zagadkowa i milcząca, ale przecież nie usunęła rąk, bo uczuła, że wilgotnieją od jego łez.

Zapomnieli się w ciszy i w milczeniu.

Tymczasem z pól doleciało krakanie żalodne ptastwa. Podniosła się i rzekła:

– Czas nam jechać!

Odwiązali konie, on podtrzymał jej strzemię, a postać jej wybiegła lekko ku górze.

Potem on wsiadł na swego wierzchowca i wracali. W bezmiernym żalu spoglądał na nią i w przestrzeń, bo sądził, że już wszystko minęło.

Ona go już nie kocha, więc jemu pozostała tylko pustka bezmiernych przestrzeni.

Kto inny posiadzie jej postać białą – i na myśl o tem wrzała mu krew do utraty rozumu, do szaleństwa.

Chwycił jej dłoń i przycisnął do warg.  
Chciała mu ją wysunąć, jakby pytając.  
Zrozumiał, ale całował jej rękę, wargi coraz rozpaczliwiej, silniej, aż podcięła konia i wysunęła mu się z rąk.  
Nie śmiał już odezwać się potem.  
Ale ona, jakby nie pamiętając o tem, kazała mu opowiadać o sobie, o swoim dworze, kto w nim jest, kto w nim bywał...  
Teraz on opowiadał, a ona słuchała.  
Cudowną mu wydawała się tak zadumana, na białym koniu, który miał srebrem przetykany rząd i białą siatką był okryty.  
Przed nimi równa droga i wysoki, prastary las.  
Nad nimi księżyc, już cały krajobraz srebrzący.  
Oboje, na koniu, po rycersku, młodzi, we dwoje.  
Czas samotnego spotkania.  
Słowa stworzone po to tylko, by mówić o miłości.  
A jednak pomiędzy nimi rozdział łez, obopólna okrutna skarga żalu.  
Jej, że nie dał wcześniej o sobie znać, jego, że ona się obiecała oddać innemu.  
I zdawało się rozwiązanie takie łatwe, bo wszak miłość jest największym i najcudniejszym prawem w życiu, a oto biegły między nimi słowa:  
– Zapóźno...  
Piotr jechał wolno, opóźniając się, ze zwieszoną głową.  
Rumak jego, jakby odgadł duszę pana, nogi powłóczył wolno, ociągając się.  
Zajechali przed dom.  
Ondyna odeszła, by zarządzić wieczerzę, na długą chwilę. Spytała przedtem go, czy gotów dzisiaj jest do drogi? Nie może tu pozostać, musi odjechać dzisiaj, wieczorem, zaraz.  
Godził się na wszystko. Ujął tylko swoją głowę w dłonie i mówił do siebie zaciskając wargi:  
– Albo mi Szwedzi albo mi Tatarzy, albo mi prędzej albo później. Wszystko jedno, byle raz skończyć!  
Przez otwarte drzwi widział w innych pokojach ruch, przesuwanie skrzyń.  
Nie wiedział, co to miało znaczyć, nie myślał zresztą o tem.  
Wyszła do niego do wieczerzy, w sukni barwnej, po raz pierwszy, z ciemno czerwonej, dosyć ciężkiej materji.  
Po wieczerzy, kiedy już miał wyjechać, poprosiła, by jeszcze pozostał i była nieobecna przez czas dłuższy.  
Wreszcie dano mu znać, że koń na niego czeka. Wyszedł przed dwór, osłonił się w futro i zobaczył pachołka czekającego z tobołem.  
– Hej! zawołał zdziwiony. – Cóż ta trzymacie za dwa konie?  
Na to sługa folwarczny, który trzymał je za uzdę, odrzekł:  
– Jeden dla Waszej Miłości, a drugi dla wielmożnej pani naszej, Ondyny.  
Nie rozumiał, nic nie pojmował. Zrozumiał dopiero, jak ujrzał ją schodzącą, gotową do drogi.  
Stała na ganku i oddawała klucze ochmistrzyni.  
Myślał, że chce odprowadzić go przez część drogi i serce zabiło mu z radości.  
Lecz ona zawołała go do siebie i rzekła:  
– Proś!...  
Nie zwrócił na to uwagi, że pierwszy raz przemówiła do niego, omijając wszystkie tytuły. Rzekła:  
– Proś, bym pojechała z tobą.  
Zrozumiał. Otwarty mu się naraz w duszy skrzydła szerokie na świat, choć nie mógł jeszcze ani siebie, ani jej ogarnąć. Ale ona rzekła:

– Służba się zbliża.

Potem mówiła:

– Czekałam cię. Zawiodłeś mnie, ale cierpiałeś. Gdybyś nie był cierpiał, nie byłabym nigdy twoją. Ale odkupiły cię łzy i miłość. Ciebie jednego mogłam kochać na ziemi.

Wydałeś mi się dawniej pięknym, a dziś jesteś dla mnie więcej, bo zwiastunem mego szczęścia. Gdybym tutaj pozostała, przez każdy dzień zbliżałabym się do mojej zguby. Ocalić mnie może jedynie ucieczka. Starościcowi powiedzą, że wyjechałam za bratem. Nie dowie się, że tutaj byłeś.

Nie pobierzemy się, póki nie przyjedzie mój brat i ja nie odbędę podróży, by znaleźć moich straconych rodziców.

Przygotowane wszystko, możemy jechać.

Na teraz i na wieki twoja jestem, twoja!...

Rzuciła ostatnie spojrzenie na dwór opuszczony. konie uderzyły kopytami i wyjechały na drogę. Była to noc księżycowa, cudna jak sen, – noc taką tylko miłość może dać w życiu, a miłość bezgraniczna, promienista i radosna, szeroka jak świat wypełniała serce Hellburga.

## VIII.

Schodziły im dnie w zaczarowaniu, w upojeniu, w miłości.

Nawet pokoje dworu Hellburga wyglądały teraz jak bajka fantastyczna. Już niegdyś przystroił je Wąsowicz, a obecnie otwarto skrzynie przywiezione z korsarskiego okrętu i okazało się, że są tam jeszcze zbroje, wschodnie makaty, materje i kobierce.

Porozwieszano je po ścianach i pozaścielano na pawimencie, by odgłos kroków tonął w nich i gasnął.

W stołowym pokoju, nad tarczą rodzinną i starym mieczem, który się nieraz wślawił, zawieszono zdobyczy szyszak i złotem przetykaną turecką zbroję, ongi własność jakiego rosyjskiego bojara.

Białe skóry z kóz i niedźwiedzi zakrywały podłogę izby, która była pokojem Ondyny.

W owy dzień ucieczki przywiózł ją Piotr do domu swojego rano. Chciał nocować po drodze i począł dobijać się do zajazdu, którego gospodarz spał już dawno, ale ona, nie czując znużenia, a gnana nieokreśloną trwogą, wołała, by uciekać, by jechać dalej.

Ona zdawała się ich nie czuć, nie zdawać sobie sprawy.

Noc była zresztą ciepła, gwiazdami iskrząca. Zobaczyli potem wschód, jasną gwiazdą jutrzienki poprzedzony, zarysowujący się wśród płaszczyzn szerokich wielką potęgą mającego spłynąć światła.

O świcie nadbiegły chmury i spadł, jak rosa, lekki deszcz.

Natura zmrożona zimą zdawała się odżywać, budzić się w ciepłych łzach radości.

Później niebo rozjaśniło się w błękit lekki, trochę złoty, łagodny.

Choć Ondyna nie chciała okazać zmęczenia, musiał ją zanieść prawie na jej posłanie i składając ją, obsypał pocałunkami.

Ale od tej pory odwiedzał ją tam tylko z jej wola.

Powiedziała mu, że nim mu będzie towarzyszką, chce mu być siostrą. Pokrewieństwo, jakie nastąpiło skutkiem przybrania jej do rodziny starego Wadzkiego, usprawiedliwiało w części jej pobyt tutaj. Nie chciała, by rzeczywistość inną była od pozorów. Spotykali się w sali jadalnej, na przechadzkach, na gankach dworu. Spędzali zresztą z sobą cały dzień, nie przestępując jedynie progu jego i jej pokoju. Czasem jednak on siedział na białej niedźwiedziej skórze u jej stóp i słuchał jej opowieści.

Nieraz brała lutnię i, grając na niej, śpiewała pieśni dziwne, u nas niesłyszane, gorące, smętne, a nęcące, w czasie których dusza jego goniła w przestwór na skrzydłach rozkoszy i melancholji, zostawiając ciało jego u jej stóp. A później, składając skrzydła jak ptak, wracała i opowiadała jej, co ujrzała w zaświatach. A ona odsłaniała z wąskich powiek swoje jasne, duże oczy i spoglądała nań zagadkowo z miłością, jakby patrzyła mu w duszę, i czytała w niej losy, które go spotkać miały.

Kochał ją z całym oddaniem i całym pojęciem największego bogactwa, jakim jest miłość, jakim jest miłość jedynej kobiety, bezgranicznie kochającej.

I mówił dalej:

– Błogosławiona jest miłość.

Błogosławiona dusza twoja, która zrodziła się po to, by dać mi szczęście.

Błogosławione ręce białe i miękkie, które jedynie moje są.

Błogosławione oczy, jak światła srebrne, płonące i jasne. Błogosławioną falą piersi twoich.

Błogosławione usta zarumienione lekko, których pocałunki jak maki świeże i wiosenne spadają mi na czoło.

Błogosławiona dziewicza postać twoja, jak sosna giętka i silna.

Błogosławione stopy twoje sarnie, cicho chodzące, ramiona jak łodygi lilji, włosy złote i miękkie i białosc twego ciała.

Błogosławiona i droższa mi nad wszystko muzyka twoja i słowa twoje, ufność twoja i oddanie mi twojej duszy.

Błogosławiona nawet tajemniczość, z powodu której nie wiem, skąd jesteś, czym jesteś i gdzie mi przeznaczonem będzie iść za tobą...

Pływali niekiedy po morzu w barce, którą przystroić kazał w purpurowe kobierce. Ona bawiła się z falami jak z dziećmi, pieszcząc je i gładząc spiętrzone grzywy podnoszących groźnie łódź olbrzymów. Zdawała się rządzić i nie lękała się ich wcale. Znajdowali zawsze w podróży swoich coś nowego i ciekawego, bo każdy szczegół bawił ich jak dzieci.

Kiedy widziała goniące za ich statkiem i bijące białymi skrzydłami mewy, wołała na nie i mówiła:

– Oto królestwo moje!

A ptaki, krzyżąc i krążąc dokoła, odprowadzały ich daleko na morze.

W czasie tego zaszło zdarzenie niezwykle.

Chodzili nieraz do wiejskich chat i przypatrywali się krzywdzie, jaką zima uczyniła wśród kmieci. Raz doniesiono im, że umiera, cierpiąc bardzo, staruszka, która leczyła innych i uczyniła wiele dobrego.

Udali się do jej chaty i Ondyna usiadła koło jej tapczana, wzięła w ręce lutnię i poczęła jej grać.

Staruszka uspokoiła się i poczęła się w nią wpatrywać.

W oczach jej zauważyli wszyscy jakby przerażenie.

Rozszerzone jej powieki okazywały trwogę bezgraniczną.

Lecz zaraz potem zasnęła, jakby w ciszy i upojeniu. Ondyna przestała grać ze smutnie zwieszoną głową.

Staruszka nie obudziła się. Umarła!

Od tej pory za Ondyną chodził wśród prostego ludu podziw z trwogą złączony. Zasięgano jednak jej rady, proszono o zioła i lekarstwa.

Raz, gdy Piotr siedział w jej izbie u jej stóp, wyraziła swój smutek, że we wsi były chaty kurne, bez kominów i bez okien, z otworami jedynie dla światła i powietrza, zasłoniętymi przez tarcice.

Na drugi dzień rozlegały się hałas i rąbanina w sosnowym lesie. Kmieć, o którym opowiadała, i trzech innych, najbiedniejszych rąbało drzewo na nowe, obszerne chaty.

Świat tymczasem pływał poprostu w słońcu.

Przyszły kwietniowe dni łagodne i rozbudziła się natura, ożywiona wcześniej przez dni ciepłe. Stanęły łąki w woni fiołków, bieli pierwiosnków i stokroci.

W kilka dni po przyjeździe Ondyny przyszły skrzynie jej i zarazem pierwsze stamtąd wiadomości.

Starościc Sieniatycki na drugi dzień przyjechał jak zwykle. Gdy dowiedział się, że wyjechała, nie chciał wierzyć i groził ludziom, że ich wymorduje i dwór spali, jeżeli prawdy mu nie powiedzą.

Powiedzieli mu, że wyjechała za bratem. Spytał wtedy, czy nie zostawiła wieści dla niego.

Przybywał później o dawnej porze codziennie i opowiadali o nim, że rozbudziły się w nim dawne namiętności przyciszone, bo okazywał się u siebie na wsi gwałtownym i okrutnym.

Wreszcie ktoś musiał mu o wszystkim opowiedzieć, bo przestał przyjeżdżać i wyraził się wobec całej służby:

– Tem ci gorzej! Nie będę spijał miodu po kim innym!

Gdy Ondyna posłyszała te słowa, zakryła twarz, a Hellburg chciał jechać mścić się za nią. Lecz ona rzekła:

– Wszak zapomnim o tem i ty i ja. Nie boli mię, gdy cierpię przez ciebie. Nie odjeżdżaj! Kto wie, może tych dni szczęścia, które przed sobą mamy, tak jest niewiele, że każdego tracić szkoda.

On spytał:

– Najdroższa! jakież myśli przychodzą ci do głowy?

Ona odparła: – Nie pytaj o nie! Nikt w życiu, jeśli nie jest zmuszony, nie powinien trwonić tego, co jest szczęściem. Nie pytaj mnie i zostań!...

Wysłali list do Tomasza na Podole z opisem tego, co się stało i prośbą, żeby powracał. Ponieważ nie wiedzieli dokładnie, gdzie go szukać trzeba, więc nie byli pewni, czy list go dojdzie. Musieliby w takim razie czekać długo.

W owych dniach kwietniowych przyjechał do nich gość wesoły i pożądaný. Był to – Ojciec Bonifacy.

I do niego doszły wieści o wszystkim. Tajemnica, chociaż pilnie strzeżona, poczęła już w formie dziwnej i niepewnej krążyć po sąsiedztwie. Bernardyn, jako przyjaciel starego Wadzkiego, chciał naocznie przyjrzeć się temu, co było.

Zastał ich oboje tonących w muzyce i zasłuchanych w poezji życia.

Powitali go radośnie, więc ksiądz wzruszył się, poklepał Piotra po plecach, który go za to w ramię pocałował i zapowiedział, że zostanie przez dni kilka.

Właściwie miał dyplomatyczną nadzieję, że przez ten czas zdoła ująć sprawę w ręce i jak zechce nią pokierować. Tymczasem sam wpadł w sidła ich gościnności, a co najdziwniejsze – marzenia.

Ustawili stół pod lipą rozwijającą się, a na stole postawiono stary miód, chowany w piwnicy tak głęboko, że go nawet Wąsowicz wprawnym okiem nie dostrzegł. Nad głowami krążyły im jaskółki, które unosiły bryłki ziemi, by lepić gniazda, a obłaskawione wróble i trznadel, wesoły i kontent z siebie przybłąda, zlatywały się na sam stół po okruszyny lub myląc się, dziobały łysą głowę księdza.

Dano księdzu krzesło wygodne, powiewał lekki wiatr wiosenny, w naturze było cudownie i sennie, a Ondyna grać poczęła.

Przenosił ksiądz wzrok swój od ciemnozłotego miodu na nich, od nich do zieleniącej się lipy i dalekiego obrazu, słuchał muzyki, a w przerwach chóru żab na dalekim stawie i rozrzwienie św. Franciszka z Assyżu poczęło go ogarniać.

Począł przedewszystkiem rozumieć niezwykłą świeżość i młodość tych dwojga ludzi i wszelkie uwagi wydały mu się poprostu zbyt starcze, zbyt pospolite.

– Wszystko to dobrze! – rzekł wreszcie. – Ale skoro miłujecie się, to powiedzcie mi, dlaczego się nie pobierzecie?

– Zawcześnie jeszcze – powiedziała, śmiejąc się, Ondyna. – Nie wypiliśmy jeszcze rosy z kwiatów. Życie jest długie, czas zawsze będzie sięgnąć do nektaru.

– Djabeł nie śpi – mruknął do siebie ksiądz, szklankę z miodem tymczasem badając. – Może być później zapóźno.

– Jak czas przyjdzie – powiedział Piotr – zwrócimy się do Ojca. Uczyniłbym to dzisiaj, niestety, Ondyna czeka powrotu swego brata.

– I mamy przed tem długą podróż przed sobą – rzekła towarzyszka jego poważnie. – Chcę odszukać przedtem rodziców.

– Że na brata czekacie, to słusznie – mówił ksiądz. – I tak zbyt wiele przygotowaliście mu niespodzianek, choć już stary Wadzki chciał mieć zięciem Hellburga. Ale zaiste zachowujecie się jak szaleńcy. Moglibyście pobrać się spokojnie, przyzwolicie, w odpowiednim czasie. Nikt nie miałby nic przeciw temu. Ale wy woleliście robić jakieś ucieczki, nadzwyczajności; teraz kochacie się znów nie jak zwykli ludzie, a żeby wziąć ślub, postanowiliście sobie odbyć dalekie podróże i szukać jakichś rodziców, o których nie mieliście nigdy żadnej wiadomości.

– Chcę, by wiedział kogo bierze i od tego nie odstąpię – powiedziała Ondyna.

– A tymczasem, kiedy księdzu tak na ślubie zależy, to może nas połączyć – rzekł Hellburg, zwracając się do Ondyny.

– Dobrze – odrzekła śmiejąc się.

A Bernardyn na to porwał się z krzesła i wiążąc ich ręce ręcznikiem, który przed nim leżał, zawołał:

– Schwyciłem was! Nie daję wam praw, ale przelewam na was obligationes. Prawa da wam dopiero ślub kościelny. Nie wykręćcie się w ten sposób!

Ojciec Bonifacy z tego co wiedział, choć nie bardzo był rad, ale jako prawdziwy chrześcijanin, cieszył się ludzkim weselem. A kiedy obłaskawiony trznadel wyrwał mu ciasto z ręki, powrócił mu cały dawny humor i chęć do uciechy:

– Błogosławię was! błogosławię! Szczęśliwy dom, gdzie takowe „alites” ciasto z ręki wydzierają. Śnać niema on złych właścicieli. Ale strzeżcie się złego ducha, bo podszepty jego łatwo zgubić mogą męża i niewiastę w samotności. Sam w życiu grzeszyłem nieco, lubiąc dobry miód, ale nie mam sobie tego za złe, bo miód sam Pan Bóg stworzył, gdy przeciwnie akwawita szatańskim jest wynalazkiem. Jeździłem daleko i widziałem takich dwoje szaleńców, jakimi wy jesteście. Błogosławię was, ale się strzeżcie, bo szatan, jako chytry i podstępny, różne sobie drogi obiera.

Ksiądz pozostał u nich kilka dni, kręcąc głową, ale nie trapiąc ich już życiowymi uwagami.

W czasie jego pobytu Piotr zabrał się do politycznego dzieła swego ojca i postanowił prowadzić je dalej. Przesiadywał długimi godzinami w sali bibliotecznej, w łuki przystrojonej i na gotyckim filarze opartej, a obok niego Ondyna tknęła srebrem hafty przy pułtyнку. Ubierała się teraz już nieraz w srebrny czepiec z bramką tkaną perłami, jak meżatki. Jasna jej głowa wyglądała w tem przebraniu jeszcze strojnziej, a oczy zdawały się rzucać jeszcze silniejsze promienie. Było to tak, jak mówił Piotr, jakby przed kimś, co stoi w ciemnym pokoju, otwierano szeroko szparę drzwi, przez którą płynęło światło.

Nagotował też gęsih piór i inkaustu i kończył rozdział pod tyt.: „O podobieństwie ustroju republiki weneckiej do Rzeczypospolitej Polskiej”. Mówił tam o wadach jednej i drugiej, o rządach możnowładców i o obieralności monarchy. Niełatwo mu było pisać, gdyż myśli miał czem innem zajęte, ale ile razy odwrócił się, tyle razy widział twarz swojej ukochanej, więc pisał żywo i z przykładnością dalej. Usunął wspomnienia osobiste ojca i umyślił stworzyć wielkie dzieło polityczne, lecz doprowadził je zaledwie do kilku rozdziałów.

Odłożył je na dni dalsze, bo miał zresztą nadzieję w Sejmie osobiście plany swoje popierać i napisał ów jedyny całkowity traktat, który po nim pozostawał pod tytułem: „Cur felicitas hominum rara est...” czyli: Jakie są przyczyny, że ludzie rzadko są szczęśliwi?... On, który do niedawna sam w szczęście wątpił, udowadniał teraz, że zależy ono tylko od nas samych.

Czasem przychodzili do nich o pomoc i o radę ze wsi, i wtedy szli, gdzie ich proszono, oboje. On nie gniewał się, gdy wzywano ich nawet bardzo często, bo było to dla niego sposobnością do pójścia z nią ramię przy ramieniu, a oboje doznawali szczęścia, mogąc, tak połączeni z sobą, czynić ludziom dobrze.

Ponieważ Tomasz nie przyjechał i posłaniec wrócił nie znalazłszy go, więc poczęli gotować się do dłuższej na Północ podróży. Kazali pakować w skrzynie futra ciepłe, bo Ondynie przecucie kazało jechać daleko. Nadto dowiedzieli się, że w niedługim czasie odjeżdża z Gdańska statek na Islandję. Ponieważ i przymierze Rzeczypospolitej nakazywało im trzymać się posiadłości duńskich, a paliła ich gorączka podróży, postanowili więc wsiąść na ten statek. Piotr nie wierzył, by podróż ta mogła przynieść coś więcej krom uspokojenia ich tęsknot do poznania świata, lecz Ondyna twierdziła uparcie, że skoro nieznaną wola kieruje ją w tamtą stronę, to musi być ich takie przeznaczenie. Równocześnie oczy jej stawały się z błękitnych srebrne i nabierały wyrazu tęsknoty, a usta zdawały się szeptać bezwiednie i nostalgicznie:

– Na Północ!



Kładł nieraz głowę na jej ramieniu, spotykały się nieraz ich usta, ale gdy raz wieczorem, przed odejściem do jej izby wyciągnął ramiona, by ją objąć, ona wysunęła mu się, mówiąc:

– Nie dzisiaj! nie czas jeszcze!

A on słuchał jej i czynił jak zechciała, bo w istocie już oddawna kochał ją więcej duszą niż ciałem.

I zamierzył popłynąć z nią tam, gdzie spodziewała się dowiedzieć o swej przeszłości, aż hen – ku dalekim lodom Islandji, ku iskrzącym – gwiazdom Północy.

## IX.

Z początkiem maja, gdy rozkwitła już wiosna, a krzewy w ogrodzie przystroili się bzami, Hellburg i Ondyna wybrali się ku Gdańskowi. Towarzyszyły im już skrzynie zawierające przybory podróżne, gdyż droga ich miała się skończyć dopiero na dalekiej Północy.

Podobało się Ondynie, po przybyciu na miejsce, owo miasto staroświeckie, należące do Hanzy i do Rzeczypospolitej. Cieszył się tem Piotr, bo widywał ją w ostatnich czasach, coraz częściej zamyślającą się i tęskniącą do osiągnięcia zamierzonego celu. I on zresztą pragnął radośnego dnia zaślubin, który naznaczono na najbliższy czas po powrocie. O Tomaszu do chwili wyjazdu nie mieli żadnej wiadomości. Widocznie zatrzymał się w drodze powrotnej, by oglądnąć królewski dwór w Krakowie.

Bawiła ich tutaj wystawność mieszczan, świetne stroje ich i pycha patrucjuszy, większa jeszcze, choć też ciemniejsza od szlacheckiej. Błąkali się po kościołach, z których najpiękniejszy, Najświętszej Panny, oddano niedawno religii reformacyjnej. Podziwiali w skarbcu stare pergaminy mnichów i wspominali czasy umartwienia się w ciemnych izbach kamiennych, w chwili, gdy, przeciwnie, im samym była tak droga teraz radość i światło. Jakże wdzięczni byli swoim czasom, że wyprowadziły ludzi na słońce! Oni tak lubili kąpać się w jego blaskach, do życia potrzeba im było przestrzeni i powietrza...

Oglądnęli z zewnątrz ratusz i wstąpili w Dworzec Artusowy. Widzieli w ratuszu winiarnię, założoną wprost w piwnicy, w której pili uczniowie szkół, radcowie, a nawet zwykli czeladnicy.

Wchodzili jednak do wnętrza jak najrzadziej. Woleli przypatrywać się ruchowi, życiu i obyczajom. Nad Wisłą i Motławą przyglądali się śpichrzom, zawierającym wielkie bogactwa i tłumowi statków zamorskich. Ondynę uderzało wszystko, bo po raz pierwszy była w wielkim mieście. Roztoczył się przed nią barwny ruch nadmorski. Statki żaglowe miały złożone, rzeźbione figury alegoryczne, godła i oznaki swoich krajów. Ładowano paki, przywożono kupie z owych dalekich krajów nawet, którym Amerigo nazwę dawał. W szynkach koło wybrzeża bawili się majtkowie, dając głośny wyraz zadowoleniu, że znajdują się na stałym lądzie. Brzeg załadowany był beczkami i skrzyniami, powbijano w niego pale, pookręcano koło nich sznury i liny. Bogata przystań Północy i składnica Rzeczypospolitej miała dni swojej świetności i potęgi, które z chwilą upadku państwa Piastów i Jagiellonów na wieki zmierzchnąć miały.

Piotr zadowolony był i szczęśliwy, że swoją ukochaną może wszędzie zaprowadzić, wszystko jej pokazać. Szli ramię w ramię nie zwracając uwagi, tylko powodując usuwanie się pospulstwa, które mówiło do siebie: Oto idzie młody szlachcic z żoną. Cieszyło go to może więcej od wszystkiego.

Ponieważ dowiedzieli się, że „Cenaurus” stał niedaleko, w zatoce Puckiej, wsiedli na łódź, by odwiedzić pana Wąsowicza. Zaledwie wypłynęli na morze, ogarnął ich słony wiatr dalekich wodnych przestrzeni. Niespokojni byli. Wdychali go w nozdrza. Wiatr ten wabił ich i nęcił. Wołał ich w drogę. Opowiadał o ziemiach nieznanych, ludach dzikich i łagodnych. O krajach ciepłych, pokrytych roślinnością bujną i świetną, ptactwem krasnopiórem, mieszkańcami o barwie hebanowej lub cynobru i zarazem o tych ziemiach białych i srebrnych, przykrytych śniegiem i lodem, śpiących w tęsknocie i rozświetlonych bladem słońcem lub zorzą Północy, o ziemiach, w stronę których jechali.

Na Cenaurusie przyjęto ich nie bez trudności i wśród wielkiej wrzawy wojennej. Otoczyli ich zbrojni ludzie, którzy jednak zaraz rozpoznali Hellburga i przywitali go, krzycząc radośnie. Pan Wąsowicz, który właśnie siadał do stołu, gdzie przebywał długo w chwilach beczynności, zdumiał się na widok towarzyski Piotra. Zdumiał się tem więcej, że przez

swoją dziwną urodę, powagę i białe szaty uczyniła na nim wrażenie zamorskiej księżniczki. Począł więc kłaniać się z atencją, poczem zaprosił ich oboje do swego obiadu. Siadło z nim razem dwóch oficerów. Ponieważ dzień był postny, więc podawano tylko ryby morskie różnego gatunku, przyczem sownie je winem zakrapiano.

Nie mogąc jednak powściągnąć swojej ciekawości, odciągnął zaraz z początku na bok Piotra i spytał, trącając go łokciem:

– Słuchajno! Ożeniłeś się, albo jeszcze gorzej?

– Jak widzisz – odparł temten.

– Nie dałeś mi nic znać, hultaju?

– Lękałem się twojego dowcipu przy wyborze ślubnego podarku.

– Słusznie czyniłeś, słusznie! Przysłałbym srebrną kołyskę. Właśnie złupiłem niedawno. Zapewne pochodzi z dworu jakiegoś szwedzkiego królewicza, bo w Moskwie na dworze w tyku śpią jeszcze. Mogę ci ją jednak i teraz jeszcze podarować. Dla mnie i tak na nic.

– Zamilcz! – odparł Piotr, marszcząc brwi. – Oszukałem ciebie. Jest to moja krewniaczka, z którą przyjechałem umyślnie odwiedzić twój okręt, bo wiem, że mam politycznego przyjaciela. A ty chcesz jej kołyskę dawać, taki synu!

– Po co łiesz? hultaju. Gładkie masz krewniaczki, ale taki myślałem sobie, że przecież żeniąc się, nie zapomniiałbyś o swoim przyjacielu. Teraz jednak pójdźmyż do stołu. Już tam moi oficerowie, jeść nie mogą, zanadto oczami przewracają.

Na statku tymczasem, wśród załogi zapanowała ciekawość. Na ogół przeważała opinia, że Hellburg przywiózł jakąś rycerską pannę, która pojedzie z nimi na morskie rozboje.

– Bywało już tak – mówili – bywało. Nie słyszeliście to o Włodkowej, albo o Rusinowskiej, które przebrane po męsku, kupców po drodze pobijały. Nie na dobro im to poszło, bo je wreszcie ujęto i śmiercią ukarano. Były one, bywały i inne. Ta wygląda więcej na panię jakieś, ale niewiasta zawsze tak, w zbroi inaczej, a w sukni znowu inaczej. Nie zdołasz poznać, tak ci się odmieni.

Byli tacy, którzy twierdzili, że białogłowa wśród ludzi rycerskich wpływa dobrze, bo męstwo zagrzewa. Inni natomiast sądzili, że śmierć cięższą czyni. Gotowi zatem oficerowie wszędzie jechać, byle tylko nie spotkać nieprzyjaciela.

Przyjrzeni się jednak sobie ci żołnierze i wilcy morscy, nastroszyli wąsy, odczyścili suknie i czekali. Zobaczyli też ją jeszcze raz, ale dopiero na odjeźdźnym,

Schodzili już goście po schodkach ku łodzi, podnoszącej się i opadającej, a pan Wąsowicz i oficerowie żegnali ich nieco smutnie:

– Daleką drogę macie przed sobą – mówił korsarz do Hellburga. – Bóg wie, kiedy wrócicie?

– Nie nieprzebieczna ona teraz, bo i statki pewniejsze są niż dawniej. Nie będziemy tam na wieczność zostawać. Jak wrócimy, to się zobaczymy.

– Wracajcie! Możemy wspólnie wyprawę jaka odbyć, albo też ja do was przyjadę. Nie wiesz, zali ta wdowa w twojem sąsiedztwie wolna jeszcze?

– Nikomu jeszcze nie ślubowała...

– Dzielna to była niewiasta i zapomnieć jej nie mogę. Jak mi się wojna sprzykrzy, to do niej wrócę, dalibóg wrócę! Jak żywe srebro jest, ale może utrzymać ją potrafię. Z Bogiem!

– Z Bogiem – odparli.

Odbiła się łódź wiosłami i zakotłowała. A postrojoni marynarze stali zawiedzeni przy burcie, bo nie otrzymali żadnego odjeżdżającej pani spojrzenia. Lecz Ondyna, z daleka już, rzuciła statkowi ręką pożegnania, a narzeczony jej powiał czapą z białą kitą. Odpowiedzieli pocieszeni i okrzykiem, którego siła i energia zdumiała nawet pana Wąsowicza.

Piotr zadowolony był z siebie i dumny, bo po to przywiózł Ondynę tutaj, by pokazać jej się w drugiej swojej postaci wodza i rycerza. By ujrzała znaczenie jego wśród ludzi morskich, którzy towarzyszyli mu, gdy krew płynęła. By zoczyła go w tem ucieleśnieniu się uczucia, jakim jest czyn.

Tymczasem łódź odpływała zwolna. Nie wiedział Piotr, że zrywa się ostatni jego związek z przeszłością, że nie miał już ujrzeć więcej ani pana Wąsowicza, ani Centhaurusa, ani Gdańska, ani swojego dworu w „Kamiennem”.

Na drugi dzień, wielki, zbożem naładowany trójmasztowiec, wiozł ich na Islandję. Dwie postacie ich, złączone dłonią, stały, patrząc długo za tą ziemią ojczystą, z której uwoziła go ona, nie wiedząc jeszcze, ale przeczuwając to, do swego kraju.

## X.

Statek był duński. Ominął po drodze Zelandję, a od portów duńskich przyłączyli się do jego załogi nowi podróżni. Byli to kupcy duńscy i norwescy, którzy również jechali na odległą wyspę. Piotr w czasie swoich wypraw korsarskich poznał języki skandynawskie, więc wypytywał się o Islandję, która od dwóch wieków razem z Norwegią przeszła pod władzę Danji. Opowiadali, że wyspa, sławna przed dwu wiekami ze sztuk i pielęgnowania umiejętności, poczęła się podnosić znowu dzięki opiece króla Chrystjana II duńskiego, który nadto przed czternastu laty narzucił jej ostatecznie religię protestancką. Opowiadali kupcy także, że jest to kraj ubogi, w którym zboże wyjątkowo tylko się udaje i drzew niema prawie zupełnie. Pora na zwiedzenie jej była stosunkowo bardzo wczesna, bo choć w południowej części zastaną już początek wiosny, to gdyby mieli jechać na Północ, napotkają ogromne przestrzenie zavalone śniegiem i lodem. Natomiast zobaczą tam gejzery, czyli źródła gorące i wogóle wiele zjawisk gdzieindziej nienapotkanych.

W dziesiątym dniu podróży od brzegów Danji ogarnęły ich już powiewy chłodne, tak, że sięgali do futer w skrzyniach pochowanych. Wiał ostry wiatr, a Bałtyk wzburzył się i fale, piętrząc się, zalewały statek. Podróżni, którym trudno było utrzymać się na pokładzie, gromadzili się wspólnie w ciemnej kajucie, zabawiając się grami i rozmową.

Ondyna, o ile tylko czas pozwalał na to, przesiadywała długimi godzinami na pokładzie, milcząc, ze swoim narzeczonym. Nie męczyły jej ani burze, ani wiatr, czuła się w swoim żywiole. Nie lękała się morskich fal i zdawała się nad nimi panować. Przyplływały do statku, jakby łkając i prosząc o odchodzący łamiąc się w skardze. Morze wołało, prosiło... Za czym?

Któż zbada jego tajemnice! Wsłuchiwali się oboje w tę skargę fal i wpatrywali się w przyszłość – przed siebie. Kryła się tam przed nimi tajemnica nieznana, wyspa na dalekiej Północy, krainy śnieżnych i lodowatych przestrzeni, kto wie? – może bytu ich zagadka...

Wreszcie uderzył w żagle upragniony wiatr wschodni. Okręt, jak motyl, skrzydła swoje rozwinął. Nazajutrz ujrzeli przed sobą wyspę we fjordy postrzępioną. Niebo roz pogodziło się. Oko spoczęło na pasmie wysokich, bielejących w dali gór. Była to Islandja. Statek przesunął się wśród skalistych, fantastycznych wysp Westmanno, biegł dalej wzdłuż wybrzeża, aż stanął w szerokiej zatoce portu Reykjavik.

Ujrzeli przed sobą miasto na sposób norweski z drzewa zbudowane. Naogół jednak, choć ruch był mniejszy i niebo chłodniejsze, jako port nie różniło się wiele od Gdańska. Ale w barwach różnica była ogromna. Zniknęły kolory błękitu i szkarłatu. Zaległy nad wszystkim cienie szare i brunatne. Smutek przelewał się z chłodnego pomimo wiosny nieba.

Drzewa i kwiaty zieleniły się zaledwie gdzieś tam w małych ogródkach koło domów. Krajobraz wydawał się kamienisty, surowy i niegościnnie.

Piotr i Ondyna postanowili zdać się na los w swoich poszukiwaniach. Nie mieli zresztą innego sposobu osiągnięcia prawdy, która sama wydawała się zresztą zbyt fantastyczną. Ale Piotr pozwalał się wieść swojej towarzysze, bo zaciekawiał go kraj ten obcy i lubił iść w to, co nieznanne, sięgać po to, co niezwykle. Trwożyła go jednak teraz dusza Ondyny. Przez cały czas podróży i pobytu tutaj zmieniła się ona bardzo.

Zdawało się, jakby nabierała barw tego kraju, blasków silnych i chłodnych. Krasa dziewczyna kochała go... Opierała się na jego ramieniu, ale stawała się coraz bardziej zadumaną, księżycową i milczącą. Spoglądała w dalekie przestrzenie z zagadkowym uśmiechem twarzy, którego nie mógł zrozumieć. Czasem było to uśmiechem, a czasem smutkiem, a czasem wydawało się jakąś siłą niezwykłą, która od niej biła, a dla której on dałby życie bez żalu.

W pierwszy dzień przyjazdu ujrzeni zaraz dziwne a piękne widowisko. Już noc zapadła, gdy połowa nieba zakryła się światłem, z którego wybiegły trzy smugi świetlne, a sama jasność zdawała mienić się gwiazdami. Na wstępie w krainę wiecznych lodów i tajemnic witała ich zorza Północy.

Piotr zbudził się jakby tknięty przecuciem, wyszedł przed dom i zastał już Ondynę samą, w przestwór ku światłu patrzącą. Kto zresztą nie spał, każdy śpieszył na ulicę. Ujął ukochaną swoją pod rękę i spoglądali długo razem na światło, którego odbłaski promieniły nawet ich twarze. Po dłuższej chwili, milcząc, dała się odprowadzić do domu.

I dotąd jeszcze nie było między nimi nic prócz pocałunków. I dotąd jeszcze ramiona jej jak powój opadały, gdy jego zamykały się na niej. Trwała w swojej wiecznej białości, a on, tęskniąc do jej uścisków, poił się nią jak muzyką, miłość swą roztapiał w melancholji i duszę swoją oddał jej na własność, nie pozostawiając nic dla siebie.

A ona? Ona zawsze kryła swe usta dziwnym uśmiechem zagadki. Lecz, chociaż on nie znał dróg jej tęsknoty, to wiedział, że ona kocha tylko jego.

Ale w ową noc długo władał nim jakiś niepokój Spoglądał przez okna w gasnące już przestwienie świetlanej zorzy. Izba jego przysłonięta była jeszcze srebrnym cieniem, jakby księżycowego światła. Duszę ogarnął mu nagły lęk, jakby przecucie czegoś, co się stać może i po raz pierwszy owej nocy wszedł do pokoju Ondyny.

Ujrzał ją już śpiącą cicho, osrebrzoną światłem, do połowy tylko zakrytą, o postaci dziewczęcej i młodej – rusalki. Ciało jej wydawało mu się zarazem dziwnie piękne, lecz kamienne. Nie pociągało go, a tylko poilo marzeniem. Nagle zdawało mu się, że oczy jej zlekka otwarły się, a na ustach zaległ uśmiech cichy. Spokój był i milczenie dokoła, tak, że słyszeć można było szept westchnienia. Lękał się, by nie przerwać jej snu i wrócił cicho i ostrożnie do siebie.

I odtąd powtarzał te wędrówki. Przez cały czas pobytu ich w stolicy Islandji przychodził w nocy – patrzeć na nią. Wydawała mu się białym i srebrnym snem, tak bezcielesnym, że nigdy nie uczynił kroku, by się przybliżyć.

Lecz trwało to zaledwie kilka dni. Ruszyli w dalszą podróż. Odsunęli się od brzegów Oceanu i białego złomu góry Vatna Jökuli. Jechali wozem, zaprzężonym w renifery. Od czasu do czasu przesuwaly się im przed oczami poszarpane łańcuchy górskie, a wśród nich, jak plamy zielonawo-błękitne – lodowce.

Przybyli tak do wysokiego wąwozu, rozpadliny w lawie odwiecznej. Było to Allmanagjau, dawnych władców Islandji miejsce sądów i rady.

W dali zaległe wzgórze śniegowe, a tu w pobliżu szumiał wodospad, spadając wysoko z góry w fale jeziora Thingwalla. Oto tutaj ongi rodziły się dawne sagi i opowieści. Tu wśród potężnych ścian wąwozu zasiadali przedwieczni królowie Islandji z rodu Norwegów. Sama natura zdawała się nasuwać wielkie myśli, uczyła wierzyć w dawnych władców, moc ich i potęgę.

Minęła ona na skutek sporów możnowładców. Minęły czasy bohaterskich wypraw rycerzy. Obalono potęgę przeszłości, jak zniszczono później biskupstwa Holaru i Skatholdu. Lód i wiatr opowiadały już jedynie stare sagi islandzkie, znały je jeziora i szczeliny gór, opowiadała o nich przyroda zamarła, jak opowieść kamienna.

Noc zesza. Zaróżowiły się jeszcze blaskiem dalekie szczyty gór, nim wszystko ogarnęły mrok i ciemność. Rozpalono ogień nad jeziorem Thingwalla. Szum wodospadu, pryskające iskry ogniska i cisza kołysały wyobraźnię. Piotr i Ondyna usiedli, patrząc w stronę ginących w mroku gór dalekich. Wśród skał szumiał wiatr. Nocne ptaki odbywały już swoje łowieckie podróże. Ondyna ujęła lutnię i poczęła grać dziko i tęsknie. Stary Islandczyk przewodnik zaczął opowiadać:

Był ongi stary, dobry król, który miał córkę Hadvor i wychowanka Hermoda. Król ten stracił przed laty swoją młodą żonę, a raz, gdy zabłąkał się w lesie, na odległej wyspie, w czasie dalekiej podróży, zaszedł w jej głąb niezbadaną dotąd i niezamieszkałą. Ujrzał tam

dwie niewiasty, z których starsza była w szacie szkarłatnej i gwiazdami ozdobionej, na głowie miała koronę złotą, a w ręku trzymała harfę o lśniących strunach. Druga była w szacie białej, nakładanej srebrną łuską i wydawała się córką tamtej. Były to królowa i królowna Hetlandji. Siedziały na złotych krzesłach, a na uboczu czuwała ich służebna, lecz król, zdumiony tym widokiem, uspokoił je i zaprosił do siebie. Wyprowadziły go wtedy z puszczy na wybrzeże i wsiadły z nim na statek. Zawiózł je z sobą na Islandję. Tam poczuł rodzącą się miłość do królowej i pojął ją za małżonkę.

W jakiś czas po jego przyjeździe Hermod i Hadvor powracali z łowów. Hermod wybrał się na dzikiego zwierza, a rycerska i kochająca go Hadvor wyruszyła z nim razem. Hermod przystrojony był w świetną zbroję, głowę krył mu hełm ze skrzydłami, smukłą jego postać obejmował szeroki pas, w ręku trzymał oszczep, na plecach zwisał mu złoty róg. Królowna Hetlandji spytała się swego ojczyrna, kto on jest?

„To Hermod – odrzekł król – przyszedł dziedzic mojego tronu i mąż Hadvory”.

Młodzieniec wydał się królownie Hetlandji tak pięknym, że postanowiła go sama sobie pozyskać za męża. Ale Hermod nie chciał porzucić ukochanej. Oparł się wszystkim złej księżniczki pokusom i namowom. Wówczas ona, która, jak jej matka, znała się na czarach, rzuciła nań przekleństwo i zmieniła go w białego wilka, by nigdy nie był mężem swej ulubionej.

Hermod uszedł, skarżąc się żalostnie i nocą tylko mógł pojawić się w postaci człowieka. A ukochana jego płakała i postanowiła pójść go szukać w bór ciemny.

Wtedy służebna z Hetlandji, imieniem Olaf, ulitowała się nad jej łzami i zdradziła jej tajemnicę swojej pani. Powiedziała jej zarazem, że może go ocalić, lecz musi wykraść i spalić jego wilczą skórę, gdy Hermod złoży ją w nocy z siebie i ułoży się do snu.

Wybrała się więc Hadvor sama w las ciemny, pełen tajemnic i dzikiego zwierza. Stare bogi islandzkie musiały litować się nad jej miłością, bo nie spotkało ją nic złego, zanim odnalazła jaskinię Hermoda.

Dowiedziała się o nim od leśnych boginek, które kąpały się w jeziorze. Kiedy zobaczyły ją, poczęły białymi piersiami wychylać się z wody i wołać za nią:

„Odejdź! odejdź! Tutaj Hermod krąży jako biały wilk, śmierć cię tutaj czeka”.

Ona odrzekła:

„Ja szukam właśnie Hermoda”.

Wtedy boginki poradziły jej, by ukryła się za skałą i tutaj, nad strumieniem czekała, aż Hermod w wieczór do groty powróci.

Posłuchała ich i przytuliła się za występem skały. Wieczorem nadszedł Hermod, a gdy ostatni blask słońca zagasł na niebie, mieniając się łuną złotą, zmienił się w dawnego rycerza. Wówczas Hadvor podbiegła i skórę jego szybko rzuciła w płomień ogniska. Potem podbiegła ku niemu, zarzuciła mu ręce na szyję i powitali się łzami radości. A nacieszywszy się, zanuciła śpiew pełen szczęścia, na który nawet rusałki z jeziora, ciesząc się, podniosły swoje głowy, a później weszła do groty i położyła się przy boku ukochanego.

Na drugi dzień wrócili do starego króla i powiedzieli mu wszystko, jak się stało. Król postanowił ukarać złe czarownice. Ale kiedy królowa i królowna Hetlandji weszły do komnaty i ujrzały w niej Hermoda, wówczas uchodząc przed jego zemstą, zmieniły się w czarnego kruka i uszły w powietrze. Lecz zasłużona kara dosięgła je, bo nie umiały się już odczarować. Przez wiele dni przebiegały jeszcze i obijały się skrzydłami, kracząc rozpaczliwie, o okno sali, aż wreszcie przyszła zima i śnieg i nie ujrzano ich odtąd więcej.

Może zginęły w zawierusze, a może odleciały w inne kraje...

Hermod i Hadvor objęły władzę jeszcze za życia króla, a czas ich panowania słynął jako okres rycerskich czynów i rozbudzenia się pieśni...

Piotr i Ondyna słuchali. Słuchali tej staroświeckiej opowieści o dwojgu kochanków i o miłości, której nie zwalczyły złe moce. Koło nich szumiał wodospad, tocząc się do jeziora, a

przed nimi – rozświetlone teraz blaskiem księżycy – rozpościerały się białe pasma gór i „wąwóz wszystkich mężów” – Allmanagjau.

– Dziś – mówił przesadnie Islandczyk – niema już ludzi, którzyby tak czarować umieli. Mówią jednak, że tam dalej, na Północy, w pustyniach śniegowych schroniły się jeszcze dawne wiedźmy Islandji. Opowiadają, że są tam dziwożony, które czarują harfą i śpiewem i wyprowadzają niebacznym w lodowe pustynie.

– Opowiadano to i nam także – zawołał Piotr. – Więc one złe są takie? – pytał.

– Mówią, że złe są dla złych, a dla dobrych dobre, grają pięknie, ale podobno śmierć przynoszą. A Ondyna, jakby nęciła ją ta daleka ziemia, pełna zagadek, położyła rękę na ramieniu Hellburga i zaszepiała:

– Śpieszmy je ujrzyć, śpieszmy ich szukać, w kraje bajki i lotu. Północ!...



## XI.

Tej nocy Piotr przebudził się jak zwykle. Mieszkali, zajmując część ubogiej chaty nad jeziorem. We śnie miał dziwne wrażenie. Zdawało mu się, że ukochana jego, księżycowa i w białej szacie, tak, jak widział nieraz ją spoczywającą, przyszła ku niemu. Wydawała się smutna i położyła mu rękę na czoło. Zdawała mu się mówić przytem:

„Ochodzę, ale nie lękaj się, bo odnajdziesz mnie jeszcze. Dowiedziałam się, czem jestem i skąd pochodzę. Z daleka od mej ziemi wyrzuciły mnie kiedyś na brzeg fale. Nie jestem jedną z pośród was, którzy tam mieszkacie. Ale kocham cię i pokochałam cię na wieczność całą. Za najcudowniejszą miłość twoją i duszę twoją smutną wybranym jesteś, by pokochała cię bajka-śnieżyca.

Jeżeli śmierci lękasz się, to wracaj, lecz, jeżeli mnie odnaleźć pragniesz, to jedź za mną na Północ”.

Zbudził się pod wrażeniem trwogi i samotności. Zdawało mu się, jakby otoczyła go nagle pustka. Pozatem miał wrażenie wizji rzeczywistej. Przeczucie jakieś ścisnęło mu serce. Przeszedł do drugiej izby i ponieważ ciemno było, skrzesał ognia, choć lękał się ją obudzić. Ondyny nie było!

Wówczas, targany niepokojem, zakłęty miłością i rozpaczą, począł wołać jej imię dokoła.

Dźwięk leciał w pustkę pól:

„Ondyno! Ondyno!”...

Pałła go męka i troska opuszczenia. Na głos jego rozbudzili się przewodnicy i stary Islandczyk, właściciel chaty. Wypytywał ich. Towarzyszki jego nigdzie nie widziano.

Minął tak od tej chwili dzień jeden i drugi. Nie wracała. On tułał się po górskich szczytach, gnany rozpaczą, schodził nad przepaście i wszędzie wołał to imię najdroższe, jedynie na świecie ulubione. Odpowiadały mu tylko ściany skał, lub głos ginął w falach jeziora.

Wówczas uniósł węzłowie, na którym głowa jej spoczywała przed odejściem i kazał jechać. Powoli zniknęły mu z oczu ściany Allmanagjau, w których pierwszy raz poczuł swoje nieszczęście.

Kazał jechać na Północ, przypominając sobie widzenie senne. Miał do przebycia jeszcze całą prawie Islandję. Ominął dolinę Löngadalur, otoczoną urwistymi skałami i przyjechał do gejzerów. Nocował przy gorących źródłach, które syczały, były wewnętrznym: ogniem, gotowały się, zasypiały, budziły. Wokoło cały krajobraz mienił się barwą pomarańczową i ciemnoczerwoną.

Jechał dalej przez moczary trawą porośnię, koło szczytu Kerlingardejdl, błyszczącego w słońcu srebrną pokrywą lodu, dostał się wreszcie w krainę pustki, lodowców i białych linii gór. Spotykał wciąż po drodze huczące wodospady, zresztą jechał jakby ziemią olbrzymów, a wszędzie, gdzie był, gdzie szedł, słał swój jeden, rozpaczliwy okrzyk?

„Ondyno! Ondyno!”

Nad potokami górskimi i przepaścistymi ścianami krążyły pardwy i śpiewały dzikie łabędzie. Poczynały się sypać zawieje śnieżne, ostry wiatr bił go po twarzy. Napotkał gorące źródła Hvaravellir, jak marmurowe czary szafirową wodą płynące. Zimno poczęło się wzmaczać. Dzikie zwierzęta coraz mniej ludzi się lękały. Po jeziorach płynęły kaczki błotne i lodowe, nurki polarne, tysiącami gonili błękitno-zielone zimorodki.

Wreszcie przybył nad brzegi morza. Ujrzał wielką pustynię lodu, dopiero pękającą. Na wybrzeżach rozkładały się foki, gnieździły mewy, kormorany, białe kruki morskie, przelatywały szlachetne sokoły. Zostawił ludzi swoich w głębi kraju, a sam kazał zbudować chatę na brzegu lodów i – czekał...

Czekał na nią... Spodziewał się zawsze, że przybędzie. Czekał z niezmierną tęsknotą i poczuciem, że tu się o jego życie i śmierć rozchodzi. Nie pojmował wszystkiego, co się stało, ale nie przestał kochać jej.

Zrozumiał, że to, co wymarzył sobie, było tylko snem fantastycznym. Nim poczuł jakąkolwiek miłość na świecie, pokochał bajkę, a ta przyjęła dla niego żywe ciało i przez jej miłość był szczęśliwym. Zakłęła go i odebrała mu radość życia swym urokiem. Ale była ona cudowniejsza od całego świata, który go otaczał. Była bardziej śnieżna, cudowna, bardziej i wierniej kochająca. I była przede wszystkim inną od wszystkiego i związał się z nią już tak silnie, że nie mógł jej porzucić.

Dziś, choć wydawała mu się już mgłą tylko, stała mu się jeszcze droższą nad wszystko. Wypatrywał pojawienia się jej z tajemniczych przestrzeni, z których, jak się zdawało, śmierć mogła przyjść tylko i usiadłszy na wzgórzu, spoglądał na pola lodowe i czekał...

Przypomniawszy sobie całą przeszłość, szczęście, radości – od chwili, gdy poznał ją... Jak ją zdobył, jak z nią uciekał. Wśród ołowianych chmur śnieżnych, w ziemi pokrytej lodem przypominał sobie wszystkie minione chwile złote i jasne jak słońce.

Zabrała mu całą duszę i odeszła, a przecież nie mógł jej przeklinać. Z szumu wiatru, szmeru morza wydobywającego się z pod lodu i tego, co miał we własnej duszy, stworzył wtedy ową: „Pieśń do Ondyny”...

„Wśród morskich fal,  
Zanim w przestrzenie odpłyną,  
Wołam cię z dal  
Królewno srebrna, Ondyno!

O, z śnieżnych pól  
Księżycą tchnieniem zrodzona,  
Niość mój ból,  
A cień twój ujmuję w ramiona.

Zbyłbych swych trwóg,  
Ze snem to tylko się roi,  
Gdybym choć mógł  
Zobaczyć ślad stopy twojej...

Lecz – zda się wiek –  
Tak chwile biegną ospale,  
Zakrył cię śnieg  
I mórż burzące się fale.

Wśród dawnych fal,  
Zanim się w przeszłość przewina,  
Wołam cię z dal  
O pani pieśni, Ondyno!

Twa srebrna łódź  
Niech z wód skołysze się łona,  
O, biała! wróć!  
Twój cień ujmuję w ramiona...

W bezmiernej melancholji czekał na nią, a ona, co noc przychodziła do niego. Otwierała bez szelestu drzwi i wchodziła do jego chaty, całowała go w czoło i otulała w śnieżne, różowe ramiona. Potem odchodziła lekko płynąc z wiatrem – jak mgła. Nie wiedział o tem jednak. Czuł tylko wtedy szczęście wielkie, ciche i niewysłowione. Raz jedynie w blasku miesiąca wydało mu się, że ją dostrzega. Wiatr przywiał ku niemu trzy cienie śniegowe, trzy śnieżyce w blasku księżyca tańczące. Miały kształty dziewczęce i wydało mu się, że cienie te mają krew i ciało, i że jeden z nich jest nią – Ondyną. Wyciągnął ku niej rękę, lecz zniknęła!

Od tej pory stale wyczekiwał jej, patrząc w dalekie przestrzenie. Nie schodził prawie ze wzgórza do swojej chaty, ale przebywał tam w samotności, czekając jej pojawienia się... Może zdoła ujrzeć ją, pochwycić.

Nad głową krążyły mu mewy, a on, przypominając sobie każdy szczegół z przeszłości, witał je radośnie. Wszak ona mówiła kiedyś, że mewy, to jej królestwo. Zaprzyjaźnił się z nimi, a one, białe i łaskawe, przyfruwały mu ku ręce, przyjmując żywność podaną. Tymczasem czuł, że opuszczają go siły i lękał się, że smutek zabije go, nim ona przybędzie.

Przychodzili jego ludzie i próbowali namówić go do powrotu. Ale on odsyłał ich i gniewał się. Były to jedynie przykre chwile, jakie miał w swej tęsknocie. Mówił im, by zostawili go, a sami odeszli do swoich siedzib z powrotem. Nienawidził ich za to, że chcieli odebrać go smutkowi.

Wreszcie przestali przychodzić. Przypuszczał, że może zostawili go i odjechali na zawsze. Wtedy promień szczęścia ogarnął jego duszę. Więc wolno będzie umrzeć mu tutaj, wśród tych białych krajów, w brylantami lśniącym królestwie Ondyny.

Marzył tylko o tem, by mógł ją przed śmiercią zobaczyć. I przyszła!...

Od kilku dni zbierało się na wielką burzę śniegową. Piotr usiadł na skale i wyczekiwał ukochanej, jak zwykle. Tymczasem rozsunęły się ołowiane chmury i począł padać śnieg, którym rzucał wiatr, tworząc burzliwą zawieję. Otoczyła ona Hellburga, któremu cicho było wśród niej i dobrze. Przejął go chłód i pochylił się już, by upaść, gdy poczuł oplatające go ramiona, a nad sobą droższą nad wszystko, spoglądającą na niego z miłością, pochyloną twarz Ondyny.

Krew obudziła mu się w żyłach i ogarnęło go szczęście niezmierne. Jakaś dziwna słabość bolesna i radosna. Pochylił głowę i uczuł na ustach swoich słodszy nad wszystko pocałunek, uczuł ramiona obejmujące go i usunął się w nie bezwładnie.

A Ondyna i jej dwie białe służebne pochwyciły w ręce jego ciało i całując je, uniosły wśród wirów śniegowych – gdzieś w niezmierne przestrzenie nieskończonego świata...

K O N I E C.